

TYGODNIK ILLUSTROWANY

HENRYK MOŚCICKI:

R Z Y M LUDZIE ODRODZENIA.



TULLIA d'ARAGONA, według portretu A. Bonvicina.

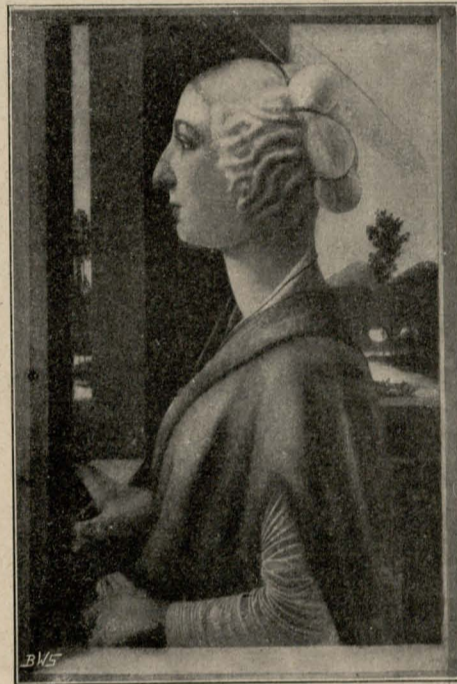
„Wyobraźnia ludów Europy nie zajmowała się tak żadną stolicą, żadnym zakątkiem ziemi, jak Rzymem, który był przez długie wieki ideałem wielu pragnień, tem, czem go Byron nazwał: *city of the soul*, miastem ducha. Rzym ma bowiem podobną w sobie właściwość, jak największe dzieła literatury świata, że można je zawsze czytać i zawsze się do nich wraca, gdyż pobudzają do myślenia, nasuwają coraz to nowe spostrzeżenia, działają ożywiająco na imaginację”.

Tak mówi o Wiecznym Mieście autor znakomitej monografii Rzymu Odrodzenia, Kazimierz Chłędowski *). I jest w tych prostych słowach prawda niezbita. Próżnoby pisać, jak doniosłe znaczenie w dziejach ludzkości miał ten gród Cezarów i Papieży; ile pochłoniął istnień ludzkich w krwawych zapasach o panowanie nad światem i o Idei zwycięstwo. Historia tego miasta, zamknięta w nieśmiertelnych arcytworach duchów wieszczych i umysłów głębokich, należy dziś do wszystkich ludów cywilizowanych. Drzewo kultury każdego niemal narodu korzeniami swymi sięgało do Włoch, do Rzymu przede wszystkim, i stamtąd czerpało swe soki pożywcze. Dlatego i dziś, i lat jeszcze szereg

nieskończony Rzym, to prazródło dzisiejszej cywilizacji europejskiej, będzie przedmiotem badań naukowych, dociekań filozofów i natchnień dla poetów.

W literaturze polskiej oryginalna książka o Rzymie jest zjawiskiem niezwykłym. Zajęci twarą, znojną pracą we własnym skołatanym kraju, gdzie od lat tyłu toczą się zapasy o zachowanie kultury narodowej, nie mogliśmy dostatecznej poświęcić uwagi dziejom kultury obcej. Tymczasem poznanie głównych ognisk życia duchowego dla naszego własnego rozwoju jest wprost nieodzowne. Z dumą przeto i prawdziwym zadowoleniem bierzemy do ręki dzieło Polaka, poświęcone jednej z najciekawszych kart dziejów świata, dzieło, poczęte w wielkim umiłowaniu przedmiotu, a wykonane z niezwykłą starannością i znanstwem niepospolitem. Nie od dziś zresztą znane jest w literaturze nazwisko Kazimierza Chłędowskiego, wysokiego dostojnika państwowego, zasłużonego działacza na polu politycznym, cenionego przytem estetyka i historyka.

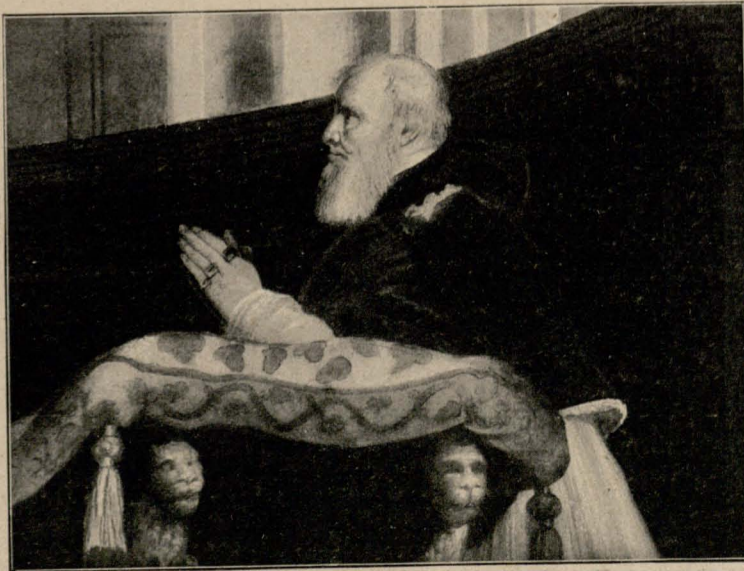
Zasłuchany w cudne echa italskiej poezji czasów Odrodzenia, zapatrzony w świat ludzi o namiętnościach niepowszednich, uczuciach, tchnących żarem południowego słońca, o charakterach tak niezwykłych w swej potworności, że aż do wiary niepodobnych, autor „Sieny”, „Dworu w Ferrarze” i „Rzymu” rozsunął w swych dziełach barwny obraz schyłku włoskiego średniowiecza i rozkwitu Renesansu. Styl autora, prosty, poważny, cechuje pewna, rzeczby można, arystokratyczna wytworność, znakomicie dostrajająca się do



KATARZYNA SFORZA, według portretu P. di Cosimo.

treści opowiadania. Żadnej przesady, żadnego frazesu lub wykrzyknika, któryby raził afektacją lub niedojrzałym zachwytem. Chłędowski rozumie i zna epokę wszechstronnie, i to nie tylko z rozległego odczytania, lecz z samodzielnych studyów historycznych i artystycznych. Ta bezpośredniość badań, sąd śmiały i pewny, na jaki może się zdobyć li tylko umysł rzetelnej wiedzy, zaprawiony przytem krytycyzmem zrównoważonym, nadaje pracom autora wartość nawskroś oryginalnych monografii, godnych stanąć w szeregu klasycznych dzieł literatury zachodnioeuropejskiej. Jedyny zarzut natury ogólniejszej, jaki możnaby postawić autorowi „Sieny”, jest brak syntezy w jego książkach. Pamiętajmy wszakże, iż nie daje nam również syntetycznego ujęcia całokształtu epoki znakomity Jakób Burckhardt, nieprześcigniony dotychczas znawca kultury Odrodzenia we Włoszech. Świetne, pełne natchnionych wrażeń studia Kłaczki ujmują jedną tylko sferę: twórczość artystyczną.

Chłędowski przede wszystkim rozwija tło dziejowe, na którym uwypukla postaci o rysach najbardziej charakterystycznych, typowych dla danego okresu. Jako historyk, jest, zdaje się, zwolennikiem poglądu o dominującej roli jednostki w życiu



JULIUSZ II, fresk Rafaela w Watykanie.

*) Kazimierz Chłędowski: „Rzym”. Lwów. 1909. Nakład H. Altenberga.

społeczeństwa. Poglądowi temu jest wierny i w ostatniej swojej pracy o Rzymie.

Historia rodów rycerskich, co „gorzej od papieża i cesarskich ludzi, bardziej od głodu i morowej zarazy” dali się we znaki Rzymowi, owych Colonnów, Orsinich, rozrodzonych tak licznie, że już w XIII wieku było ich pod dostatkiem, „aby zaludnić niebo i piekło, a przedewszystkiem piekło” —



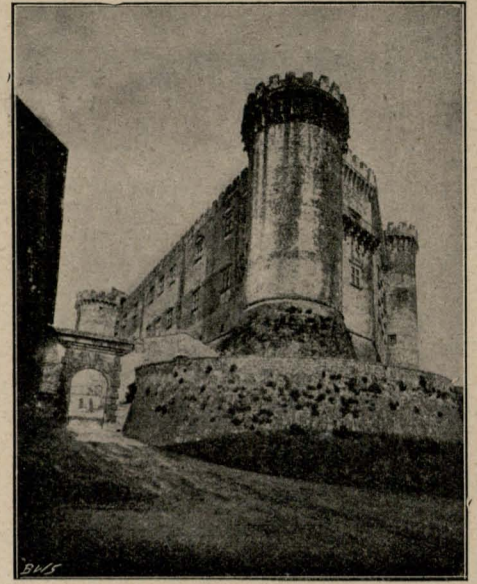
Kardynał Oliviero Caraffa, klęczący przed Madonną.
Obraz fra F. Lippi.

dzieje tych rodzin to historia Rzymu na schyłku wieków średnich. Walka z papieństwem jest główną treścią tych lat dziś surowej jeszcze ascezy, jutro kipiących szałem bakchicznym, formalnie już tylko chrześcijańskich, pogańskich w gruncie rzeczy.

W wieku XV-tym następuje przesilenie. Średniowieczna noc przesądów, panowania siły fizycznej i przemocy brutalnej, ustępuje jutrznianym blaskom nowej w dziejach ludzkości epoki—Odrodzenia.

Kolebką Renesansu włoskiego była Florencja. Tu, w tej stolicy nauki, którą nazywano „mieszkanem bogów” i „matką wszelkiej cnoty”, dojrzał i okrzepł humanizm; stąd rozszedł się smugami światła po całych Włoszech. Ze szkoły florentyńskiej wysłała cała plejada dzielnych krzewicieli humanizmu, między innymi Poggio Bracciolini, uczeń Jana z Rawenny, jeden z najbardziej typowych przedstawicieli nowego kierunku. Był on przytem jednym z pierwszych humanistów na dworze papieskim!

Humanisci zasłużyli się dobrze cywilizacji ogólnej nawrotem do starożytności rzymskiej i greckiej, którą pojmowali o wiele głębiej, niżeli uczeni i pisarze średniowieczni; bezpośredni zaś ich wpływ na obyczaje powszechne wyraził się w całej powodzi anegdot, ulotnych wierszyków, facecyjek, którymi



Zamek w Bracciano.

szermowano z wielką wprawą, nie oszczędzając nikogo.

Dwór papieski, życie możnego świata nad Tybrem dostarczało bystrym obserwatorom tyle obfitego materiału, że niebawem powstaje cała literatura, będąca wiernym odbiciem obyczajów epoki. Jak romans, wija się dzieje Rzymu Odrodzenia i jego władców. Po surowych postnych latach Hidelbrandów nastaje huczny, rozwiąły karnawał Borgiów, della Roverów i Medyceuszów. (DN)

WŁADYSŁAW ZALEWSKI: OGRÓD MIŁOŚCI.

Dusze drzew cyprysowych, czarnych mnichów, wabi
Za kratą ogród rajski, który boską słynie
Wonną gędbą, strzeżoną przez kwiatów boginie
Czyste... W głębi sadzawka—w niej woda jedwabi

Migliwych błyszczą sennie, jak w złocistej misie,
Nalanej płynnem srebrem... Nad wodą się chyli
Rząd wiotkich służek, wianek niebieskich motyli,
Co na pachnącym wietrze błyszczą, miga, skrzy się...

Czekają służki korne, nachylone... Zda się,
Królewne, panie cudów ogrodu, wyskoczą
Z sadzawki, białe ciała na muraw atlasie

Prężyć będą, podobne łabędziom, uroczu
Srebrniejącym na lśniącej malachitów wodzie—

...Płaczą dusze cyprysom u bram twych, ogrodzie...



Na marmurowych schodach sadzawki połyska
Bielą kwieci liliowych, obryzanych rosą,
Wian cudownych królewien, którym wonie niosą
Zefirowe skrzydełka, a czynią igrzyska

Na wietrze złoty drobnych kolibrów... Za chwilę
Przyjdzie jasnych paniątek orszak duchów niebny,
Rzuci miękkie muśliny pajęczyny srebrnej
Na ciała, w złotym słońca igrające pyle...

Lecz wprzód niechaj laury upaja najstodziej
Obnażony majestat najwyższej harmonii!

Niech rozkosz senne oczy po atlasie wodzi
Ciał błyszczących, płomiennych, które zefir stoni
I woń róż—śpiew o boskiej niebianek urodzie—

...Płaczą dusze cyprysom u bram twych, ogrodzie...



O krwaw się, serce moje, krwaw o złotą kratę
Ogrodu, kiedy oczy prerozkosznie mrużę
Od światła ciał tych boskich, wykutych w marmurze!
Żarze pragnień! Gaś ogni płomienie skrzydlate!

Bo pod palm wachlarzami, na białych tłach kwieci,
Czarna pani o szalach pogrzebionych śpiewa:
Słuchają rajskie dziewy, róże senne, drzewa,
Dziwnie szumiące w blasków gasnących zamieci...

A pieśń żałobne pióra wszędy kładzie, wsiąka,
Jak mrok, w najcichsze światło różanego pąka,
W pierś się tuli milczącym rozkoszy oazom...

Już na wodach sadzawki, powleczonych gazą
Czarną, jak ciche widma, lśnił Charona łodzie—

...Płaczą dusze cyprysom u bram twych, ogrodzie...



PRZEKLEŃSTWO (z wystawy T. Z. S. P.)

JÓZEF MĘCINA KRZESZ

BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

III.

Jest to fakt, nie ulegający wątpliwości, że na dzisiejsze wysokie stanowisko cywilizacyjne Niemiec, na ich przemysł i handel nie tyle oddziaływały huczne zwycięstwa Moltkego i bezecne szachrajstwa Bismarcka, ile cicha praca wielkich filozofów i uczonych. W audytorjach i laboratoriach niemieckich rodziły się potężne prądy duchowe i przez szkoły, książki, gazety sływały do najgłębszych warstw społecznych. To też dzisiejszy Niemiec, rolnik czy polityk, rzemieślnik czy wojskowy, przede wszystkim umie badać i rozmyślać! Nie ich wojsko jest straszne, które można rozbić, nie ich armaty i okręty, które ulegną zniszczeniu. Raczej to jest niebezpieczne, że prawie każdy Niemiec, w porównaniu z mieszkańcami wschodniej Europy, jest niby człowiek widzący i słyszący wobec ślepych i głuchych.

Zapewne dlatego we wschodniej Europie nauczanie zalicza się do przestępstw.

My, Polacy, nie jesteśmy pozbawieni zdolności do wysiłków w królestwie nauk i filozofii; lecz garstka naszych uczonych i myślicieli jest nieliczna, a nadewszystko nie ma dość wolnego czasu, ani potrzebnych środków... U nas być uczonym czy filozofem to prawie bohaterstwo. Trudno więc dziwić się, że umiejętność badania i rozmyślenia nie przesiąknęła nawet do zamożniejszych warstw narodu. U nas rozwój duchowy jeszcze mierzy się zamiłowaniem teatru i zdolnością czytania recenzji teatralnych.

Otóż rzecz szczególna: w tem społeczeństwie, w którym popularny kurs filozofii, albo jasno napisana historia filozofii jest rzadkością, wyszły już w drugim wydaniu a wybornych przekładach filozoficzne pisma F. Nietzschego... Dla osób, które mają za sobą jakieś studia filozoficzne, burza paradoksów i spostrzeżeń nitscheańskich stanowi zajmującą czytankę. Ten obłąkany mędrzec (a był nim chyba przez całe życie) miał niewątpliwie błyski genialne, a jego przewracające wszystko do góry nogami rozmyślenia zajmą kartę w historii filozofii i dziejach życia społecznego. Ale myśliciel ten,

o którym, jeżeli nie zwodzi mnie pamięć, powiedział Fouillée, że: „co jest w nim nowe, to jest fałszywe, a co prawdziwe, to oddawna znane”—myśliciel ten nie stanowi zdrowej czytanki dla gimnazystów albo pensjonarek. Oto parę próbek, wziętych na chybił trafił:

„Wszystko niemal, co „wyższą” zwiemy kulturą, polega na przeduchowieniu i pogłębieniu okrucieństwa” (str. 190). (Zatem ligi pokoju, opieki nad więźniami i sierotami są „przeduchowieniem okrucieństwem”).

„Pod grozą obrażenia niewinnych uszu utrzymuję, że egoizm stanowi istotne znamię duszy dostojnej; a przez egoizm rozumiem ową niewzruszoną wiarę, że takiej istocie, jak „my jesteśmy”, inne istoty z natury rzeczy muszą podlegać i dla niej się poświęcać” (str. 257); (Zatem—Waszyngtonowie i Kościuszkowie nie byli „duszami dostojnymi”. Są zaś niemi np. hakatyści).

„Człowiek, dążący do wielkości, uważa każdego spotkanego na swej drodze albo za środek, albo za zwłokę i przeszkodę, albo za węzłowie” (str. 266. „Poza dobrem i złem”). Jest to teoria wszystkich wyzyskiwaczy, a zapewne rozmaitych Azefów i Landessenów.

Dodajmy inne aforyzmy, jak np.: „Nie

oszczędzaj bliźniego. Strzeż się człowieka dobrego. Miłość bliźniego jest moralnością niewolników. Zbrodniarz jest naprawdę człowiekiem wolnym. Dobrze jest patrzeć na cierpienie, a jeszcze lepiej zadawać cierpienia" (Cytaty według L. Buchnera: *Aurore du siècle*), a zrozumiemy, jaka to kasza może ugotować się w biednych polskich głowach po przestudyowaniu filozofa, o którym tenże Buchner mówi:

„Nietzsche jeszcze napisał: „Gdy ludzie są tego zdania, co i ja, natychmiast czuję, że nie mam racji”. Nietzsche chciał prawdopodobnie powiedzieć przez to, że, gdyby swoje własne myśli spotkał w dziele innego autora, odwróciłby się ze wstrętem. Cóż wobec tego rzekną jego ślepi wielbiciele, dla których Nietzsche jest najgłębszym myślicielem i najświetniejszym pisarzem naszej epoki?”

Nic nie mam przeciw drukowaniu Nietzschego w polskim języku. Ależ dajcie nam jeszcze jakieś inne, zdrowsze rzeczy, w równie pięknych przekładach...

Uspołecznienie. Weź do ręki kawałek chleba i zapytaj: ile osób truduło się, ażeby go wyprodukować? Ilu rolników, woźniców, handlarzy, młynarzy, piekarzy brało w tym udział?... A jeżeli dodasz ludzi, którzy pracowali nad budową machin i narzędzi rolniczych, młynarskich, piekarskich, przewozowych, wówczas zaczniesz rozumieć: jak wielkiej liczby pracowników, jak wielu pomysłów, czujności, zapobiegliwości, wytrwałości i tym podobnych zalet było potrzeba zużyć, zanim powstał ten skromny wyrób, który nazywamy chlebem, niezbędnym dla utrzymania życia.

W podobny sposób możnaby zastanawiać się nad wszelkimi wyrobami: od szpilki do okrętu wojennego, od pudełka zapalek do gmachów ministerjalnych, od kawałka nici do brylantów i sobolów, strojących elegantki, i przekonaliśmy się, że każdy z owych przedmiotów wymagał mądrej, zorganizowanej pracy mnóstwa ludzi, rozrzuconych po całym kraju, niekiedy po całej Europie, nawet po całej kuli ziemskiej.

Każdy człowiek chce być najszczęśliwszym, lecz osiągnąć ten cel może—tylko i tylko w społeczeństwie, przy jego życzliwym i drobiazgowym współudziale. Społeczeństwo wychowuje nas, czuwa nad naszym życiem i zdrowiem, rozwija nasze umysły, podnieca uczucia, rozbudza i zaspokaja pragnienia. Słowem, społeczeństwo dostarcza nieskończonej liczby sposobów i środków do wszechstronnego rozwoju naszych fizycznych i duchowych zalet, do rozwoju naszej indywidualności. Jest ono dla nas niby kochająca matka dla dziecięcia; bez jego nieustannej pracy i opieki, bez jego wskazówek we wszelkich możliwych zagadnieniach życiowych, stalibyśmy się fizycznymi i duchowymi wyrodkami, nieszczęśliwsi od najędźniejszego zwierzęcia.

A wzamian za miliony usług, nam oddawanych, czego społeczeństwo żąda od nas?... Tylko jednej rzeczy: pełnienia obowiązków, których olbrzymią większość streścić można w sentencji: „nie bądź szkodliwy, pracuj użytecznie”!

Ażeby społeczeństwo mogło oddawać wszechstronne usługi rozwojowi jednostek, musi odpowiadać pewnym warunkom. Pierwszym z nich jest: różnorodność celów, zajęć, nawet poglądów i przekonań. W społeczeństwie powinni istnieć nie tylko rolnicy, rzemieślnicy, kupcy, przemysłowcy, ale także uczeni, artyści, sportowcy; nie tylko konserwatyści, lecz i postępowcy, nie tylko spirytualiści, lecz i materialyści.



MADONNA Z KOŚCIOŁA SACRÉ-COEUR W NOWYM-YORKU.
Malował A. Mucha.

Innym warunkiem jest—proporcja, w myśl której w zdrowym społeczeństwie nie powinno być ani zbyt mało, ani zbyt wielu np. kupców, albo artystów. Jeszcze inny warunek stanowi harmonia, która znaczy, że—wszystkie grupy społeczne, wszystkie zajęcia i przekonania winny wspierać się wzajemnie i rzetelnie wymieniać usługi: w przeciwnym bowiem razie stanie się komuś krzywda, która znowu będzie początkiem całego szeregu wyzysków, oszustw, walk i nienawiści, czyli choroby społecznej.

Koroną warunków uspołecznienia jest—jedność społeczna, objawiająca się w najrozmaitszych postaciach. Może być jedność pochodzenia i języka, jedność wyznania, sympatii i antypatii, wspomnień dziejowych, jedność przekonań i poglądów, jedność położenia ekonomicznego, praw politycznych i t. d.

Rozmiary uspołecznienia są bardzo rozmaite: do najmniejszych należy rodzina, stowarzyszenie, gmina, do rozleglejszych—związki zawodowe, do najrozleglejszych—narody i państwa. Lecz poza narodem i państwem—chciałbym to jak najsilniej podkreślić—poza narodem i państwem—istnieje coś jeszcze rozleglejszego i niemniej rzeczywistego, mianowicie: inne narody ucywilizowane. Już dziś, bez żadnej wątpliwości, cała Europa ucywilizowana zaczyna tworzyć jakby jeden organizm, dzięki komunikacyom, powszechnej oświa-

cie, dziennikarstwu, wreszcie dzięki rozmaitym kongresom i organizacyom międzynarodowym (np. krzyż czerwony, krzyż błękitny, stowarzyszenie pokoju i t. p.). I bez przesady można powiedzieć, że, czem dla jednostki w dziedzinie potrzeb fizycznych i duchowych jest naród, tem dla narodu jest cywilizacja, czyli—inne narody ucywilizowane.

Wprawdzie polityka i rozbudzone przez nią szowinizmy nacjonalistyczne jeszcze dzielą narody; mimo to już ponad nieufnościami i niechęciami unoszą się pewne wspólne ideały, niejasno przeczuwane przez wszystkich mieszkańców zachodniej Europy, a zrozumiałe i gorąco upragnione przez ludzi wyższej kultury umysłowej i etycznej.

Braterstwo ludów, wolność, sprawiedliwość, poszanowanie ludzkiej osoby, jej uczuć, przekonań i majątku, wymiana usług, jak najpełniejszy udział czynny i bierny w dobrodziejstwach cywilizacji—oto hasła wspólne dziś mieszkańcom Europy. Jutro staną się one obowiązującymi dla wszystkich, a ich uwieńczeniem bodaj czy nie będzie saint-simonowski aforyzm: „Każdemu wedle zdolności, każdej zdolności według pracy, każdej pracy wedle pożytku”.

Oto trzy stopnie społecznych obowiązków: względem ludzi, względem narodu, względem cywilizacji; na każdym zaś z owych stopni nie wolno, nie należy być szkodliwym, a trzeba, należy być użytecznym. Więc, gdziekolwiek znajdziesz się, bracie-Polaku: we własnym kraju czy w obcym, nie tylko między Francuzami, Węgrami, Czechami, ale także w Anglii, Niemczech, Rosyi, nie mieszaj się do walk partyjnych, nie zabieraj głosu w sprawach niejasnych, lecz wszędzie bądź użytecznym, ażeby wszędzie wiedziano, żeś nie półbarbarzyńca, ale człowiek prawdziwie uspołeczniony.

Po roku 1870 jakaś większa grupa naszych zesłańców powracała z Syberji do kraju; otóż rosyjska gazeta *Sybir* żegnała ich, o ile pamiętam, w tym tonie: „Żegnamy was, jak przyjaciół i nauczycieli, gdyż nie tylko prowadziliście się u nas uczciwie, ale—wpłynęliście korzystnie na nasze rolnictwo, zaszczepiliście ogrodnictwo, wprowadziliście niemato rzemiosło, byliście apostołami nauki i sztuki, więc—Bóg wam zapłać, bracia!” Niewiele artykułów w rosyjskiej prasie zrobiło mi tak rzetelną przyjemność, jak ów syberyjski... I, gdybym miał sformułować przepisy zachowania się Polaków na obczyźnie, powiedziałbym:

— Czyńcie tak, jak czynili najlepsi z pomiędzy naszych zesłańców na Syberji...

Wróćmy do ogólnej sprawy uspołecznienia. Na nadmiar jednolitości nie możemy narzekać, istnieje bowiem u nas aż zanadto wielka różnorodność. Obok rodowitych Polaków, mamy z 15 proc. Żydów, sporo Niemców, Rusinów i Rosyan. Proporcji w naszych stosunkach społecznych także niema; dość przypomnieć, że, dzięki Żydom, klasa handlująca w Polsce jest zanadto liczna, zaś rodowici Polacy np. w handlu dopiero zaczynają dorabiać się stanowisk, a w urzędach państwowych jest ich coraz mniej.

O harmonii społecznej, szczególnie w ostatnich kilku latach, może byłoby lepiej nie wspominać. Chłop, jak dawniej, nie dowierza szlachcicowi, pracownik szarpie się z przedsiębiorcą, dzieci z rodzicami, pewne grupy inteligencji z księżmi. W takich warunkach jedność społeczna posiada albo bardzo słabe natężenie, albo wręcz wygląda chorobliwie.

ANAKREON



JÓZEF RONA

Główne prądy współczesnej literatury rosyjskiej.

Przeminął w literaturze rosyjskiej Czechow ze swym uśmiechem smutnej, subtelnej ironii, ze swą tęsknotą „ludzi zbytecznych”, uosabiając zmierzch epoki przejściowej. Była w Rosyi wielka beznadziejność pozytywizmu. Po długich latach fanatyzmu naukowego niebo stało puste i nieme nad inteligencją rosyjską. Panował niepodzielnie ascetyzm ofiarnictwa społecznego.

Nietzscheanizm padł, jak świeże ziarno, na glebę rosyjską. W „bosiakach” Gorkija zmartwychwstał romantyzm, przeciwstawiający się szarości mieszczańskiej. W dziewiątym dziesiątku lat ubiegłego stulecia rozkwitł bujnie socjalizm rosyjski, lecz sformułował upojenie walki o prawo ludzkie, tylko ludzkie.

I oto samoofiarnictwu społecznemu przeciwstawia się amoralizm i czysty estetyzm. Grupa pisarzy skupia się dokoła „Świata sztuki” (Mir Iskusstwa) i rzuca hasło sztuki dla sztuki. Zeneida Hippius, Dymitr Mereżkowski, Miński i Briusow opierają swą twórczość na idealizmie, na krańcowej samowoli jednostki. Sposób ich pisania swą abstrakcyjnością, refleksyjnością jaskrawo odbija od wszechwładnego dotąd realizmu rosyjskiego. Powra-

cają do dawnych poetów-metafizyków: Tiutczewa, Feta, Baratyńskiego. Lecz obok tych wpływów, obok nietzscheanizmu zaczyna się utrwalać inny wpływ: Dostojewskiego i Włodzimierza Sołowiewa, najdostojniejszych przedstawicieli Gnozy rosyjskiej. I oto w pustkę serc dekadentów, zmęczonych samotnością, nie znajdujących spoczynku w indywidualnym zuchwalstwie, sływa jasna nadzieja: trzeba szukać prawdy, słowa religijnego.

Dekadentyzm rozdwa się i wpływa dwiema strugami do marksizmu rosyjskiego i do nowego prądu religijnego. Dawniejszy indyferentyzm polityczno-społeczny ustępuje miejsca współczuciu, jeżeli nie czynnemu, to ideowemu dla ruchów wolnościowych. Mereżkowski, który łączył się z najskrajniejszą reakcją, pisze prorocтва o rewolucji rosyjskiej. Balmont, Briusow, Sołogub opiewają dźwignięcie się i walkę ludu. Z kapliczki czystego estetyzmu wychodzą na arenę życia, okrytą pyłem i plamami krwi.

Lecz poprzednie próby nie pozostały bez śladu: jeżeli po krótkim odchyleniu od głównego prądu — bohaterstwa czynu — literatura rosyjska wraca do dawnego łożyska, to wraca w nowej, modernistycznej szacie. Głównym reformatorem form poetyckich był Konstanty Balmont, który nie waha się powiedzieć o sobie:

Jam wytworność rosyjskiej potocznej mowy,
Zwiastunami moimi są wszyscy poeci.

Mnogość przeżyć intelektualnych, estetyzm i krańcowy indywidualizm robi z Balmonta i Briusowa dekadentów-panasowców. Balmont z beztrząską dziecką napawa się światem, kocha przyrodę, lecz nie tyle bezpośrednio, konkretną jej zjawę, ile syntezę jej pierwiastków abstrakcyjnych. Briusow, poeta miasta i tragicznej lubieży, tak określa swe utwory:

„Me wiersze są, jak święta czara
truczna, co w ciszy się ustały”.

Istotnie, wiersze jego, wyrzeźbione, jak posążki z kości słoniowej, wykazują skłonność ku klasycyzmowi. Eklektyzm nastrojów robi z Briusowa typowego dekadenta.

Dekadentyzm rozpętał jednak wszystko kosmiczne, nieskończone w przeciwstawieniu do skończonego, społecznego. I poczuła dusza rosyjska, zwolniona z pęt racjonalizmu, że jest poza wszelką zjawę—tajemnica.

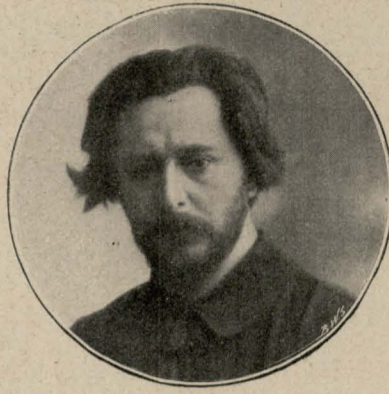
Andrejew spełnił czyn tytaniczny w literaturze rosyjskiej. Z opłotków twórczości obyczajowej wyprowadził ją na szczyty zagadnień wszechświatowych. Postawił problemat nie duszy rosyjskiej w danych warunkach historycznych, lecz duszy po wsze czasy, nie życia, lecz bytu wogóle. Nie liczył już uderzeń knuta, spadających na kark chłopca, i nie



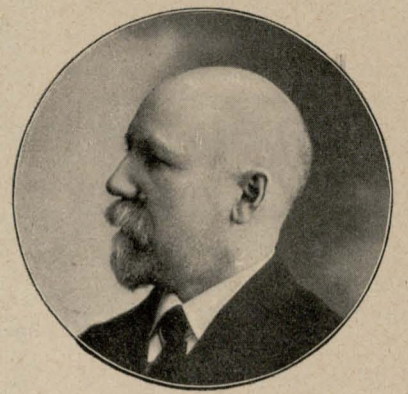
Walery Briusow.



Dymitr Mereżkowski.



Leonidas Andrejew.



Teodor Sołogub.

mierzył miarą doczesną podłości urzędnika. Wstuchiwał się w mrok kosmiczny, oblegający świat dokoła. Starał się pochwycić nieuchwytnie. Nie czuł grozy nędzy i ucisku; czuł żelazny ucisk konieczności, warunkującej wszystko.

Groza niewiadomego, niepojętego skłaniała go mroźnym wejrzeniem. Świat wydał mu się maską, i starał się Andrejew zderzyć tę maskę, by zajrzeć w bezkształtny chaos poza nią.

Nowa treść wymagała nowej formy. Andrejew zerwał z rutyną realistyczno-obyczajową.

Stał się czystym impresjonistą. W ostatnich czasach, w utworach dramatycznych, próbuje stworzyć nowy teatr symboliczny.

U Andrejewa widzimy nieludzki wysiłek mózgu, by opanować tajemnicę. Lecz nie ma jeszcze doświadczenia mistycznego, nie ma znajomości drogi, prowadzącej ku niej.

Tę drogę znaleźli inni.

Razem z dążeniem do uwolnienia człowieka, jako jednostki empirycznej, powstało dążenie do uwolnienia go, jako jednostki metafizycznej.

Obudził się ruch religijno-mistyczny, który prawie zawsze powstawał tam, gdzie powiało skrzydło wolności.

Zródłem jego, jak już wspominaliśmy, byli Sołowiew i Dostojewski. U Dostojewskiego są dwie idee ośrodkowe: Bogocztowieczeństwa i Człowiekobóstwa. Z tych dwóch idei wypłynęły dwa nowe prądy mistyczne: neo-chrześcijaństwo i mistyczny anarchizm, czyli indywidualizm soborny (zbiorowy). Przedstawicielami neo-chrześcijaństwa są Dymitr Mereżkowski i Zeneida Hippius. Dekadentyzm został już teraz daleko poza nimi, gdy głośno przemówiła potrzeba prawdy wewnętrznej. Kamieniem węgielnym ich nauki jest uznanie stopniowego przeobrażenia świata w procesie bogocztowieczym. Chrześcijaństwo historyczne odrzuciło wszystkie zdobycze kultury. Neo-chrześcijaństwo chcą połączyć kulturę z wiarą, hellenizm z chrystusowością i uznają indywidualność za rzecz Boską, nieśmiertelną. Antynomie Ojca i Syna chcą pogodzić w trzecim — w Duchu św. Ta religia św. Trójcy przypomina naszego Cieszkowskiego. Porównanie na-

szego mesyanizmu ze współczesnym mistycyzmem rosyjskim dałoby wiele zestawień pouczających i wykazałoby nasze starszeństwo w rozwoju duchowym.

Ojcem duchowym mistycznego anarchizmu był Wacław Iwanow, który wyrzekł się nazwy, gdy ją ośmieszyli niezręczni wyznawcy.

I tu uznaje się wartość indywidualności ludzkiej, lecz jednocześnie uznaje się za konieczną dla niej łączność, „soborność”. Jednostka, dążąca do człowiekobóstwa, może podnieść bunt i odrzucić świat stworzony, może walczyć religijnie z Bogiem, samorzutnie zdobywając prawdę, nie zaś biorąc gotowe normy religijne.

Neo-chrześcijaństwo uznaje konieczność tych norm, bez których niemasz zbawienia, soborny indywidualizm pozostawia nieograniczone pole pojedynczemu doświadczeniu mistycznemu i łączy ludzi nie w imię prawdy dla wszystkich jednakowej, lecz w imię miłości.

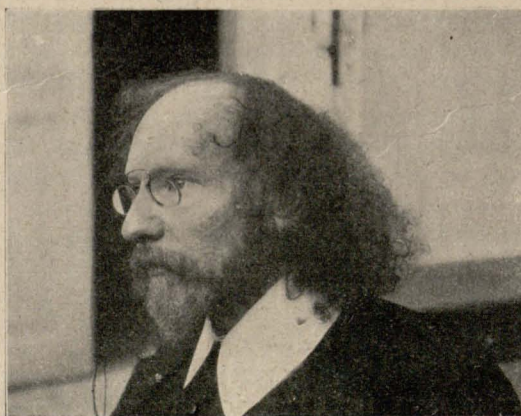
„Żebraczy i jasny, przechodzę i śpiewam, wszem jasność mą szczerą rozdaję”.

(Iwanow, Eros).

Prócz poety Iwanowa, mistykami i prawdziwymi symbolistami są poeci Aleksander Błok i Teodor Sołogub. U Błoka za mglistą postacią „Pięknej Damy” kryje się tęsknota do ideału, a Sołogub odrzuca cały świat cierpień i zła, wielbiąc śmierć cichą i dobrą. A że w potwornym swym solipsyzmie uważa świat za rozszczępienie własnej jaźni, więc, potępiając i odrzucając świat, siebie biczuje, siebie niszczy, by wrócić do „doliny innobytu”.

Biegunowo przeciwny Sołogubowi jest Borys Zajcew, najpromienniejszy z prozaików rosyjskich, stanowiący razem z Iwanowem i Balmontem zjawisko wyjątkowo słoneczne na czarnym tle życia rosyjskiego. Sołogub odrzuca świat, Zajcew go przyjmuje. Stąd jego radość.

Dużo miejsca, pod wpływem Weinhingera,



Wacław Iwanow.

Wedekinda i t. d., zajmuje w literaturze rosyjskiej kwestya płciowa. W chórze głosów pisarzy dominuje ton uznania absolutnej wolności płciowej, sięgający nawet aż do nienormalnych form miłości (Sołogub, Kuźmin i in.). Neo-chrześcijaństwo i soborni indywidualiści sankcjonują dyonizyjski orgazm płciowy, pojęty religijnie. Realizm żąda przeobrażenia istniejącej formy rodziny i odziera miłość z konwencyonalnych szatek sentymentu, ukazując nagi szkielet fizyologiczny (Sanin).

Obok wszystkich tych nowych prądów płynie leniwie dawnym korytem realizm rosyjski.

Istnieją w nim dwie grupy: starzy społecznicy-ludowcy, grupujący się dokoła wydawnictwa *Znanije* (Wiedza) i grubych miesięczników: *Obrazowanie*, *Mir Bożij*, *Ruskoje Bogatstwo*.

Do nich należą: Korolenko, Tan, Tieleczof, Serafimowicz, P. Jakubowicz, Cziirikow i in., i nowsi realiści-indywidualiści: Kuprin, Arcybaszew, Kamienski. W pismach ich jest przywiązanie do realnej jednostki ludzkiej, do namacalnego szczęścia i bunt przeciwko dawnemu ascetyzmowi społeczników, poświęcających życie osobiste ideałowi abstrakcyjnemu. Swoiste oblicze posiada ludowiec Mujżel.

Obrazki rodzajowe chłopskiej niedoli urastają u niego na symbole tragizmu i chaotywności świata.

Sięgnięcie do źródeł ludowych wydobyciło u Rosyan na wierzch prąd narodowy. Kosmopolityczna inteligencja rosyjska od czasu słowianofilów nie podejmowała tej kwestyi.

Teraz Wacław Iwanow rozwija idee „wszechnarodowości”, zbiera materiały staro-słowiańskie i cudnie naśladuje „byliny” (rapsody ludowe).

Do staro-słowiańskich podań sięga i Balmont (Ptak-Żar), i Aleksy Remizow (Limonar), i Sergiusz Gorodecki, piewca słowiańskiego boga Jariły.

Tak stwarza naród rosyjski nowych swych bogów.

Może niejedyn bóg znajdzie swój ołtarz u nas już gotowy. Może dopiero teraz naród rosyjski do zrozumienia nas dojrzewa...

SAVITRI.



Michał Arcybaszew.

BEZ MASKI.

„Wymiana zdań”, jaka nastąpiła pomiędzy p. inspektorem szkół m. Warszawy z jednej a kolegium kościelnem zboru ewangelicko-augsburskiego z drugiej strony, odsłoniła prawdziwe oblicze kwestyi, oddawna niepokojącej opinii polską. Wszelkie wątpliwości zostały usunięte, wszelkie niedomówienia są już zbyteczne.

Komunikat kolegium kościelnego, który urósł do miary dokumentu historycznego, stwierdził w sposób stanowczy, że robota polityczna, jaka dokonywa się na polu szkolnictwa początkowego w Warszawie, zwróciła specjalną uwagę na szkoły zboru ewangelickiego, w których wrzekomo polonizują się Niemcy.

Troska, z jaką inspekcja szkolna wzięła pod swoją opiekę narażoną na niebezpieczeństwo narodowość niemiecką, jest wprost bezprzykładna. Na podstawie faktów, które przytacza komunikat, trzeba dojść do wniosku, że wytworzenie w Warszawie *quand même* silnego ogniska niemieckiego stało się wyraźnym zadaniem rosyjskich instytucji oświatowych w Królestwie Polskim. W tym celu stwarza się Niemców sztucznie. Przy pomocy cyfr, zaczerpniętych Bóg wie skąd, uzasadnia się *statystycznie* potrzebę tworzenia, wbrew prawu, szkół z językiem wykładowym niemieckim i rozwija się czarno-biały sztandar w nadziei, że uda się go zatknąć na tutejszym zborze ewangelicko-augsburskim, w imię zasady, że wszystko, co jest ewangelickie, tem samem *musi* być niemieckie.

Pomijając nonsens łączenia wyznania z narodowością, pomijając całą historyczną stronę istnienia Kościoła ewangelickiego w Polsce od czasów wielkiego ruchu reformacyjnego aż do dzisiaj, niepodobna nie podkreślić tu znamienych dla stosunków chwili obecnej dążeń biurokracji rosyjskiej.

W walce swojej ze wszystkim, co polskie, w swoich zamierzeniach rasyfikacyjnych nie waha się ona, na wyraźną szkodę państwa, popierać w kraju naszym żywiołu niemieckiego, dawać folgi jego aspiracyom nacjonalistycznym i podawać przez to w wątpliwość naszą zwartość i jednolitość narodową. Stąd jawne protegowanie kolonizacji niemieckiej, z zamknięciem oczu na planowe obsadzenie przez nią dróg komunikacyjnych i fortec, stąd opieka i przywileje dla ludności niemieckiej w Łodzi, stąd wreszcie świeży atak na Zbór warszawski.

W Warszawie jednak niema Niemców w dostatecznej ilości, a żywioły w rodzaju Franzmanów *et consortes* zostały tak skompromitowane, że oprzeć się na nich niepodobna. Postanowiono więc Niemców „stworzyć”.

I oto w roli takiego „stworzyciela” wystąpił p. inspektor szkół. Zbytnią jednak gorliwość, z jaką pragnął dzieła swego dokonać, sprawiła, że kolegium kościelne, zaczezione przez niego publicznie, otrzymało sposobność do również publicznego zderzenia maski z oblicza całej tej sprawy i ze sposobności tej skorzystało.

Pełen dostojności, powagi i silnej, rzeczowej argumentacji jego komunikat, powitany przez całą opinię polską z uznaniem, nie tylko odparł atak inspekcji na szkoły zborowe, ale odsłonił jednocześnie drogi, któremi chodzi polityka rosyjska w Polsce—i dlatego stał się doniosłym wydarzeniem chwili.

Z. D.



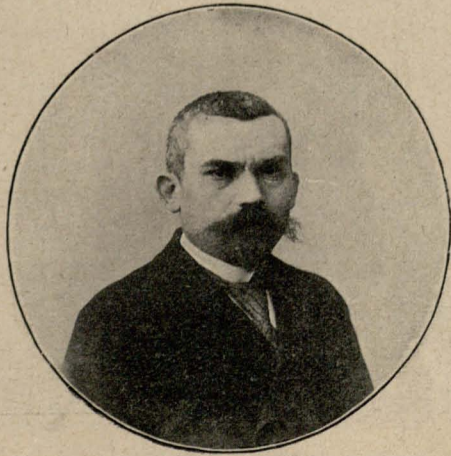
Pomnik Słowackiego w przedsiönku teatru polskiego w Poznaniu.

Pomnik Słowackiego w Poznaniu.

Nie grzmiały fanfary jubileuszowe, nie spływały promienie jesiennego słońca na zebrane licznie rzesze ludu wielkopolskiego, nie było to gwarne i głośne święto wielbicieli i wyznawców, ale w cichości, w skromnych rozmiarach święciliśmy ten dla nas i w tych rozmiarach wielki i pamiętny dzień. Dzień odsłonięcia pomnika Juliusza Słowackiego w przedsiönku teatru polskiego w Poznaniu.

On miał dla nas tylko cierpkie słowa krytyki, pisząc o „heglistach poznańskich”, a mimo to, gdyby z grobu dzisiaj powstał, miałby serdeczne słowa pociechy i wytrwania i obietnicy lepszej doli, chociaż pomiędzy nami tylko od 10 kwietnia do 8 maja 1848 r. bawił i nas za życia prawie wcale nie znał.

A jednak dumni jesteśmy z stworzonego dzieła, dumni przedewszystkiem z 95 obchodów we wsiach i miasteczkach, urządzonych na cześć poety, dumni z szczęśliwego zwalczania tych rozlicznych przeszkód, których nam nie szczędzono.



Władysław Marcinkowski, twórca pomnika.

Odsłonięcie drugiego pomnika Słowackiego w Wielkopolsce—pierwszy, jak wiadomo, postawił mu Józef Kościelski w Miłosławiu przed 10 laty—odbyło się w zaciszu przedsiönka teatru polskiego w obecności imiennie zaproszonych przedstawicieli kół poselskich, rady miejskiej Poznania, towarzystw i związków męskich i żeńskich. Taka już dola nasza, że z hołdem dla naszego największego wieszca współczesnej doby kryć się musimy; taka już dola, że trzeba nam go kochać i wielbić pod opieką i w murach jedynej świątyni języka polskiego.

Wykonał skromny, a mimo to monumentalny ten pomnik Wł. Marcinkowski, dając odlew biustu wieszca w Miłosławiu; w czerwonym marmurze wykuła mu słup i tablicę firma Michalski i S-ka. A potem zeszli się cicho przyjaciele i w skupieniu słuchali podniosłych słów pośta miasta Poznania, Bernarda Chrzanowskiego, który imieniem Komitetu radzie nadzorczej i dyrekcji pod opiekę skromną, lecz piękną tę pamiątkę oddawał. Dziękował imieniem Rady prezes Centr. Komitetu wyborczego, dr. Krysiewicz, a w końcu przemówił delegat Komitetu lwowskiego, dr. Wiktor Kahn, sławiąc cichą cnotę Wielkopolan, co bez rozgłosu, po pierwszym pomniku Mickiewicza, drugi już Słowackiemu stawiają. Kantata wedle słów Kułakowskiego, a muzyki Dworzaczka, oraz złożenie licznych wieńców wypełniły ramy obchodu.

Wieczorem, po śpiewie chórów teatralnych i apoteozie wieszca, zagrano „Mazepę”. Do uświetnienia wieczoru przyczynili się pp. Ostarwa i Andrzejewski, oraz panie: Turowiczówna i Królikowska. Wystawienie „Mazepy” rozpoczęło cykl dramatów Słowackiego na naszej scenie; zobaczymy jeszcze „Złotą czaszkę”, „Maryę Stuart” i „Beatrix Cenci”.

Uznać trzeba w końcu szlachetne wysiłki dyrektora Lalewicza, który nieustrudzenie czuwał nad stworzeniem jak najlepszej całości obchodu.

T. JAW.

Oświata polska

w Mińsku litewskim.

Dnia 21 b. m. miński urząd gubernialny zamknął polskie Towarzystwo „Oświata” wraz ze wszystkimi jej oddziałami.

Trzyletnie niespełna dzieje mińskiej „Oświaty” to najwierniejsze odbicie tego nastroju, tej całej gamy uczuć i pragnień, jakie społeczeństwo nasze na Litwie przeszło od chwili pamiętnego manifestu kostyucyjnego.

Kiedy minęły pierwsze chwile entuzjazmu, ludzie dobrej woli rozpoczęli energiczną pracę około zorganizowania instytucji, któraby w swe ręce ujęła oświatę ludu katolickiego i polskiego. Więc niezapomniany dziekan miński, a dziś infułat, ks. Kazimierz Michalkiewicz, więc znani i energiczni działacze, jak pp. dr. Cz. Grabowiecki i M. Porowski, więc panie wreszcie, jak pp. Aleksandra Łappianka, Michalina Łęcka i inn., postanowiły przedstawić do zalegalizowania statut „Polskiego Towarzystwa Oświata w Mińsku litewskim”.

Statut, oparty na ustawie podobnych instytucji w Cesarstwie, uzyskał zatwierdzenie w końcu 1906 roku.

Trudno opisać ten nastrój poważny a wzruszający w ludziach, którzy tłumnie śpieszyli na pierwsze organizacyjne ogólne zgromadzenie, zwołane w połowie stycznia 1907 r.

— Więc będziemy mieli szkoły własne! Więc dzieci nasze mogą już uczyć się choć pierwszych nauk w języku ojczystym!

Tak myśleli i tak głośno myśli swe wyrażali (członkowie nowozałożonej instytucji, dążąc z pierwszego zgromadzenia do domów. Niewiele jednak czasu potrzeba było, aby nadzieje te okazały się złudzeniami, aby rozwiewały się stopniowo, pogrążając nas w odmętę powrotnej fali reakcji...

ZARZĄD TOWARZYSTWA „OŚWIATA” W MIŃSKU LITEWSKIM.

Ni trzeba nikomu dowodzić, czem jest początkowa oświata wśród ludu i jakie jest jej znaczenie, gdy może być udzielana w języku ojczystym.

Na Litwie, jak wiadomo, w ciągu lat 42 słowo polskie milczało i kryć się musiało, jak zbrodnia, jak przestępstwo stanu. Kiedy zaś po latach czterdziestu zakazy zwolniły nieco, przekonano się dowodnie, że cały ten srogi kurs rusyfikacyjny okazał się najzupełniej bezsilnym wobec biernego oporu jednostek, na pozór, zdawałoby się, uległych nawet. Bilans okresu popowstaniowego da się określić w ten sposób: myśmy stracili dużo, system zaś wynaradawiający nie zyskał nic.

Gdzież więc podziąły się nasze straty?

Odpowiedź łatwa. Zrobiła na nas ciemnota, upadek moralny, a poniekąd i fizyczny, wśród drobniejszego mieszczaństwa i szlachty, t. j. u tych wszystkich, którzy, pozabawieni na miejscu wpływów kulturalnych, nie mogli ich szukać poza swym powiatem.

Te smutne formy, w jakie na Litwie przyobłócił się tak zw. „ruch wolnościowy” z lat 1905—1906, to najbliższy skutek braku oświaty.

— Ale nic to!—mówiliśmy sobie.—Kilka lat pracy naprawi szczyby i spustoszenia. Dobre ziarno wszędzie i da plon, który przejdzie nasze nadzieje!

Nie dano nam jednak było owego ziarna zasiać... Na wstępie zaraz nie pozwolono nam zakładać szkółek, a więc faktycznie wówczas już zamknięto Oświatę.

Robiono trudności wszędzie i na każdym kroku. Czepiano się drobnostek. Nie pozwalano na zebraniach mówić po polsku, wreszcie stworzono stan najwyższego nerwowego napięcia, w którym trwałiliśmy prawie półtora roku. A walczyła z nami nie tyle miejscowa administracja, ile falanga reakcyjnych urzędników, zorganizowanych pod wodzą słynnego eks-skazańca, Gustawa Schmidta.

Rozumieliśmy też, że istnienie Oświaty liczyć można na dni, skoro taka instancja, jak senat, stanęła przeciwko naszej pracy czysto oświatowej i kulturalnej, nie mającej żadnej przymieszki politycznej.

I tak się też stało.

Pierwszy pozór, jaki się nastreczył po wydaniu znanego aktu, zamykającego Oświatę w Kijowie, wystarczył, aby do odpowiedzialności pociągnięto jej siostrzycę w Mińsku i wydano wyrok, oddawna przesądzony.

Owym pozorem był „donoś” sprawnika mozyrskiego, jakoby pięć szkółek, wykrytych przezeń w powiecie, utrzymywane były przez Oświatę.



W pierwszym rządzie od lewej strony siedzą: Stanisława Sylwestrowiczowa, Jadwiga Kostrowicka, J. E. ksiądz infułat Michalkiewicz (pierwszy prezes), Wanda Obrąpalska i Anna Czekotowska. Stoją w tym samym porządku: Leon Krasowski, W. Malinowski, Michalina Łęska, inżynier St. Korzon, M. Głowacka, ks. proboszcz M. Majewski, dr. Jan Offenber (pierwszy wice-prezes), mecenas Zygmunt Węclawowicz, Mieczysław Porowski (obecny wice-prezes), dr. Czesław Grabowiecki (sekretarz).



Hieronim ks. Drucki-Lubecki, pierwszy prezes „Oświaty”.



Mieczysław Porowski, wice-prezes „Oświaty”.

I choć rewizya, odbyta przez tegoż sprawnika, nie wykryła, jednak moralne przeświadczenie jego wystarczyło, jako dowód i powód do zamknięcia...



Obraz Matki Boski Częstochowskiej. Skradziona została perłowa sukienka, dwie korony, oraz sznury wotów, zawieszane na obrazie.

W ciągu swego trzyletniego, bez mała, istnienia Oświata robiła, co mogła.

Kilka odczytów bardzo dobrych, kilka dobrych, a parę mniej udanych (zawieść się na prelegencie zawsze można!), biblioteka, prosperująca doskonale, wreszcie pomoc finansowa, okazywana dzieciom ubogich rodziców w celu kształcenia, zawsze to była praca poważna i korzystna, której już dziś prowadzić nam nie wolno.

Ale... przetrwaliśmy gorsze czasy—przetrwamy i to. W każdym razie powrotna fala reakcji może być ostrzejsza, może działać gwałtowniej, ale nie będzie miała tej siły, jaką odznaczał się ucisk Murawiewów i jego kontynuatorów...

Ta pierwsza „Oświata” polska zapisze się na kartach historii, jako potężna próba podjęcia się z upadku, a nazwiska ludzi, którzy pierwsi siły swe poświęcili pracy kulturalnej wśród ludu, przejdą na zawsze do potomności.

WŁ. DWORZACZEK.

ŚWIĘTOKRADZTWO.

Dopuszczono się niestychanej zbrodni świętokradztwa! Więcej nawet! bo ohydny czyn łączy w sobie i profanację, i grabież, i obrazę najdroższych uczuć narodu!

Ręce zbrodniarzy sięgnęły po ryngraf polski, po wiekowy szkaplerz tej ziemi i jej ludu! sięgnęły do Jasnej Góry, do Cudownego Obrazu Bogarodzicy-Królowej!

Sięgnęły do miejsca, uświęconego wiarą i pieśnią wieków, do miejsca, gdzie korzyły się i korzą pokolenia, do miejsca, przed którym chyliły się wszystkie głowy! Padali na kolana wielcy i małuczcy tego świata, króle i pacholeta wiejscy!

Obraz Cudowny, który króluje naszej ziemi, szkaplerz polski odarła ręka zbrodniarzy z szat kościelnych, z sukien, perłami tkanych, z nad świętych wizerunków zdjęła korony, drogimi kamieniami lśniące, z ołtarza Bogarodzicy pochwyliła wota drogie, składane przez wiarę stuleci!

Ale nie w tem największa ohyda, że łupem zbrodni stały się wysokiej ceny realnej, historycznej i artystycznej ozdoby, gdyby to były zwykłe paciorki, ofiarowane przez Maryę-Pańniczkę, woskowe świeczki, jakie najubożsi składają w ofierze na światło Bogarodzicy, gdyby to był tylko wianuszek polnego kwiecia, ohydny czyn nie traciłby przez to waloru, bo podniesiono rękę na Świętość narodu, na jego talizman dziejowy, na nimb widomy jego sławy, wierzeń, ukochania, nadziei!

I dlatego wieść ta, biegnąc lotem ptaka od wsi do wsi, od sadyby do sadyby, nie tylko w pokrzywdzonej naszej ziemi, ale w świecie całym wywołała uczucie grozy i oburzenia.

Do stóp Bogarodzicy zbiega lud polski z lamentem, biegną wszystkie myśli chrześcijańskiego świata!

I nie tylko chrześcijańskiego!

Uczucie grozy, oburzenia, szlachetnego współczucia ogarnęło wszystkie umysły bez względu na wyznanie, na rasę, na krew, w żyłach płynącą!

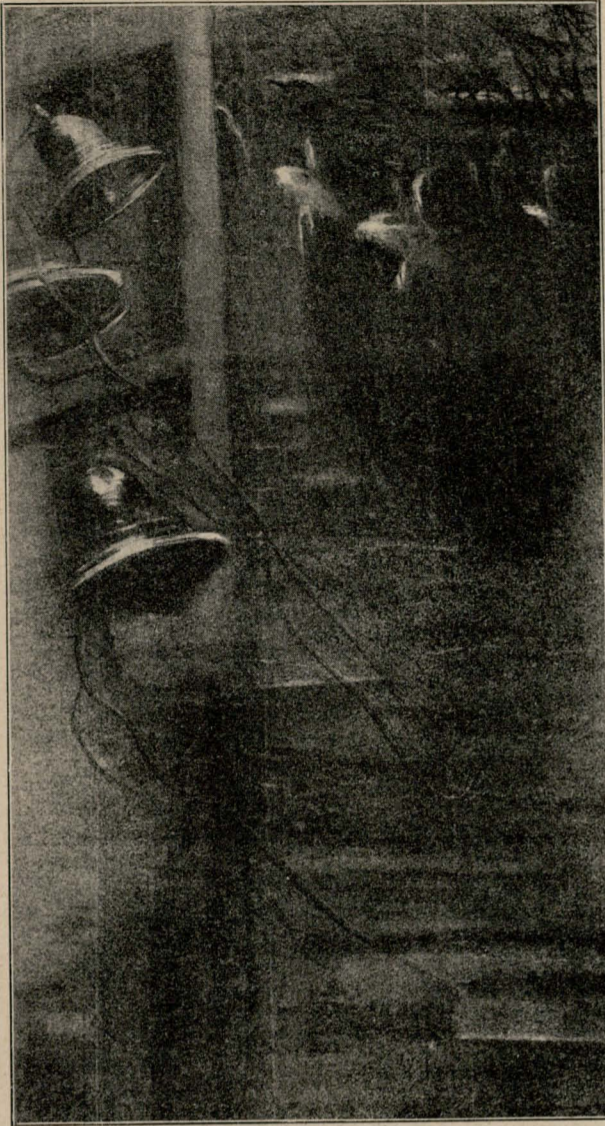
Naród doznał krzywdy w swem Najświętszym uczuciu, więc ktokolwiek czuje się w Narodzie, kogokolwiek łączy z społeczeństwem polskim choćby najwęższe nici wspólnoty, tę krzywdę i obrazę uczuć i dać jej wyraz musiał.

Z władzami, które z urzędu poszukują zabranych świętokradzką ręką kosztowności i wyrodków, co się tego czynu dopuścili, szuka cały naród!

I znajdzie!

I na szkaplerz Polski drogie klejnoty powróci i za swą krzywdę się policzy!

K. LASKOWSKI.



DZIEŃ ZADUSZNY

WITOLD WOJTKIEWICZ

Święto tych, co odeszli.

Tylko, że liść spada z drzew, tylko, że złocieję i krwawi się barwą jesieni, ale niebo tak modre, ale słońce tak jasne, jak wiosną.

I zdaje się, że w tej pogodnej, pełnej czaru ciszy nie może zabrzmieć żaden jęk, nie może stać się żaden gwałt nad ciałem lub duchem, że śmierć jest dobrowolnym, upragnionym nawet odejściem w świat wyższy i piękniejszy, do którego wiodą te ukwiecone, kolorowe od lampek mogiły.

Długimi, cichemi, usianymi poźółkłymi liśćmi alejami suną w czerń ubrane postacie, suną tak widmowo, jak cienie, dążące ku zaziemskim regionom. To jeszcze nie tłum warszawski, to ci, którzy chcą samotnie łzy swe wypląkać i przylgnąć ustami do zimnego grobu, zdala od ciekawych, wypatrzących widowisko oczu.

Cmentarze, jak ogrody, tchną odpoczynkiem jesieni. Bieleją wśród drzew żałobnych pomniki, z marmuru i granitu wykute, mającą krzyże krańców cmentarnych, i opiera się wzrok na dalekich, opuszczonych, zapadłych mogiłach.

Nie opuszczonych! bo oto widzę, jak chylą się nad nimi głowy wdów i matek, jak zniżają się główki dziecięce i gorące łzy żalu i bólu przenikają grobowe z darni

pokrycie, spadając na krwawą pierś robotnika.

Miasta umarłych! Bezpieczne miasta wytchnienia po życiowych utarczkach i bitwach! Jakże błogo, jakże bez troski śpi się pod naszymi drzewy.

I są cmentarze warszawskie jako miejsca poświęcane, kędy leżą prochy zasłużonych i wielkich w narodzie.

I są jako muzea dzieł sztuki, gdzie wznoszą się twory mistrzów dłóta, w poważnych liniach, w głębokim nastroju zamykając poezję rzeźby, przemawiającą do ludzkich dusz, zadumanych nad zagadką życia i śmierci.

Po alejach Powązek chodzę i na każdym kroku spotykam znane i ukochane przez nas wszystkich nazwiska.

Poeci słowa i poeci pendzla, pieśniarze, na skrzydłach muzyki unoszący się w niebo, artyści, co z desek sceny porywali tysiące serc w światy zaczarowane, mężowie, stojący na straży narodowych spraw, wojownicy, którzy zeszli ziemię od końca do końca, wierni imieniowi Polski i honorowi swemu; maluczcy znaczeniem wśród możnych świata, ale potężni miłością pracownicy jutra—oto ci, którzy odeszli, a których pamięć żyć w sercach na wieki

powinna.

Na cmentarzach ewangelickim i kalwińskim wzdłuż ulic napotykam imiona tych, co zasłużyli się ziemi ojczystej, jako oddani do ostatniej kropli krwi synowie. Polską tu tchnie, polskie tu biją w skrzydła ptaki, tak jak na mogiłkach żydowskich zrywa się głos narodowej miłości i dumy z grobów Majzelsa lub Wohla.

A ze wszystkich owych miejsc poświęconych tym, co odeszli, w serca żywych wstępuje wiara w ducha, który trwa, i w zorzę, która przyjdzie.

OR-OT:

PO LATACH,

W zaduszną noc listopada
Trumienne pękają wieka,
I płynie duchów gromada,
Gdzie rośnie oset i głóg.
Miesięcznej jasności rzeka
Na smutną ziemię opada,
I w smutną przestrzeń ucieka
Żałobnie szumiący kruk.

Grobowców posępne straże
Kryją drużynę milczącą,
Zalane blaskiem cmentarze
Stoją w tęsknotach i łzach.
Niebo śle smugę błyszczącą,

Na mogilników ołtarze
I wstrząsa wierzba płaczącą
Wielki niepokój i strach.

Idą mężowie w szkarłatach,
W stalowych zbrojach rycerze,
Dziewice w ziołach i kwiatach
Idą, gdzie wielki jest grób,
Na trumnę matki po latach
Niosą modlitwy w ofierze
I cicho szepcą pacierze,
Miłości wznawiają ślub.

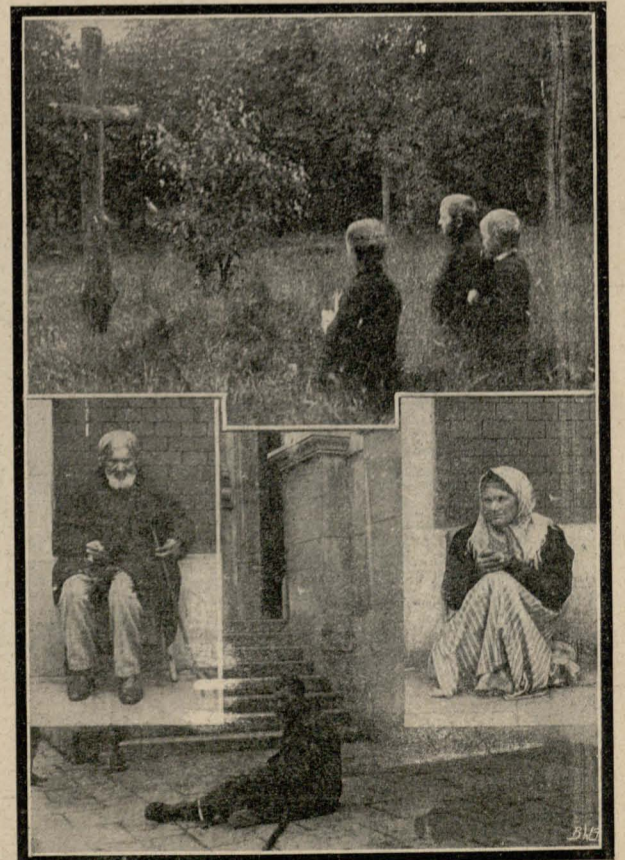
ARTUR SCHRÖDER:

CMENTARZ.

Jakby rozlana z czarodziejskiej misy,
woń wędniejących kwiatów, z dżdżu wilgotnych,
wzdłuż i wszere szereg grobowisk samotnych
i straż pustkowi cmentarnych: cyprysy.

Liście, upadłe na szerokiej ścieży,
wiatr podwieczorny roztrąca i zwija—
pod murem, w stronie, której nikt nie mija,
przygotowany dla kogoś dół świeży.

Mrok cichym krokiem z za drzew się wychyla
i podmogilnym snom idzie na straże—
jakieś postaci wskrzesza zwidzeń chwila...
jawi się smutny, zgięty w liniach grzbieta,
tłum dobrze znany: Horacy, grabarze
i pytająca, blada twarz Hamleta.



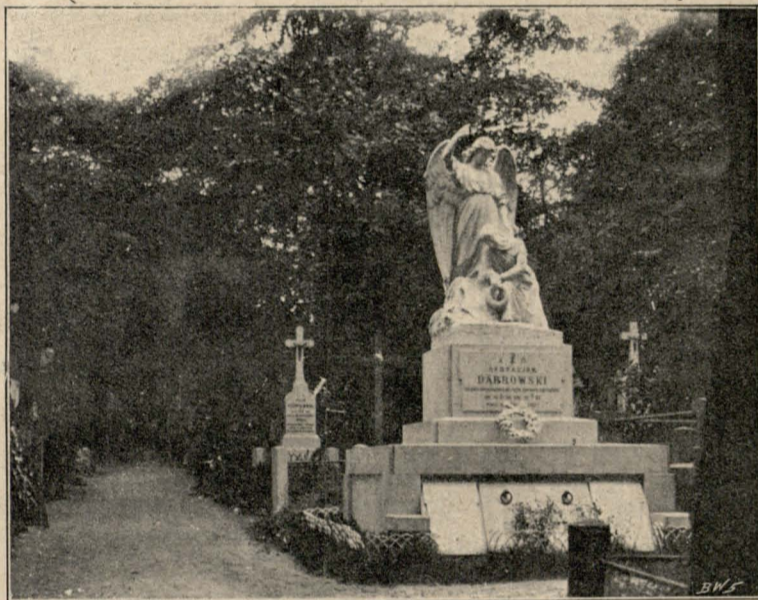
Z POWĄZEK.



RZEŻBA JANA WOYDYGI.



RZEŻBA JANA WOYDYGI.



RZEŻBA B. SYREWICZA.



RZEŻBA WŁOSKA.



RZEŻBA T. SKONIECZNEGO.



RZEŻBA L. WASILKOWSKIEGO.



WEDŁUG PROJEKTU P. JABŁCZYŃSKIEGO.



RZEŻBA ZYGMUNTA OTTO.



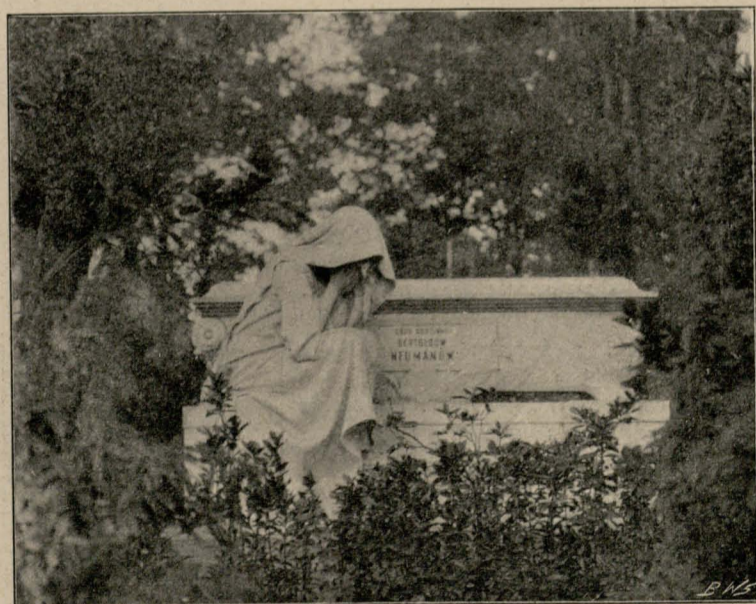
RZEŻBA G. TÜRKE



RZEŻBA JANA WOYDYGI.



RZEŻBY WEDŁUG WZORÓW WŁOSKICH.



WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

Sezon koncertowy rozpoczęty. — Orkiestra Fitelberga. — Podniesienie poziomu koncertów popularnych. — J. Hoffman. — Koncerty pedagogiczno-historyczne. — Co słyszać z operą? — „Pani Mouton” Sylvane’a w Teatrze Letnim. — „Mentor” Fredry i „Nasza młodość” Capusa w Teatrze Małym.

— Jak Warszawa Warszawą, nie słuchaliśmy takiej orkiestry! — zachwycał się podnieconym tonem przyjaciel mój, z zawodu radca Towarzystwa Kredytowego, a z przyrodzonego zamiłowania meloman wielki, zagarniając w roztargnieniu palto moje z rąk szatniarki wśród nieopisanego tłoku, panującego w kontramarkarni Filharmonii po koncercie Hoffmana.

— Racya zupełna! — pośpieszyłem potwierdzić. — Fitelberg jest przeznaczonego instruktorem i dyrektorem orkiestry... Duszę własną jakby dawał temu zbiorowemu ciału muzycznemu... i ogromne to zbiorowe *instrumentum* pod jego batutą „lśni, jak mozaika, śpiewa, jak słowiki”... Wszelako... pozostaliśmy każdy przy swoim paltocie — dodałem łagodnie, podsuwając radcy jego własny przydziewek.

— Przepraszam!... przepraszam stokrotnie! — jął wołać radca-meloman. — Ale wciąż mam jeszcze wrażenie, że na innym przebywam świecie.

Istotnie, sądząc z introdukcji, którą nas tymi dniami uraczono, sezon koncertowy w Filharmonii mieć będziemy, co się zowie, niepowszedni. Nie dlatego atoli, że wysłuchać mamy całego szeregu wirtuozów-solistów pierwszorzędnych, których korowód otworzył już oto Józef Hoffman. Podstawę koncertów symfonicznych bieżącego sezonu będzie stanowiła: znakomita orkiestra, zorganizowana i wyćwiczona przez Fitelberga, a którą dyrygować będą kolejno on sam, Opieński i Melcer. I ta świętna orkiestra powołana jest zarazem do podniesienia artystycznego poziomu koncertów, zwanych „popularnymi”, jak tego już dowód mieliśmy i przykład, słuchając doskonale wykonywanych utworów np. Czajkowskiego (Symfonia 6-ta i 5-ta), Bizeta („Arlezyanka”), oraz mniejszych, a lepszych kompozycji na koncertach sobotnich i niedzielnych.

Owóż, byle tylko nie zbywało Warszawie na ochocie słuchania *dobrej* muzyki, kształcącej rzetelnie smak i uszlachetniającej upodobania, — sposobności po temu nie zabraknie.

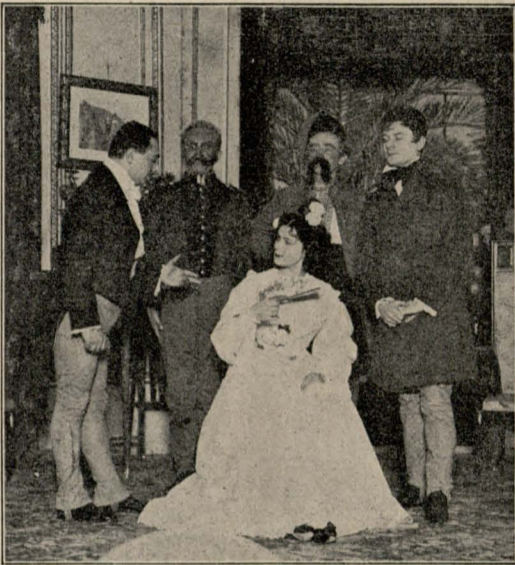
Nie dość na tem. Z inicjatywy p. Maryi Sobolewskiej zorganizowano ciąg dalszy wyborczych i wysoce pożytecznych koncertów niedzielnych popołudniowych w Filharmonii „dla młodzieży”, a w gruncie rzeczy dla wszystkich, pragnących zapoznać się z rozwojem wogóle muzyki, z tem, co kolejno tworzone było np. w ciągu całego upłynionego dziewiętnastego stulecia, tak obfitego w dzieła wielkich mistrzów, klasyków muzycznych i romantyków. Cykl tych koncertów retrospektywnych, pedagogiczno-historycznych, obejmie wzorowe, ściśle stylowe wykonanie najznamienszych kompozycji muzycznych, które jakby etapami znaczyły muzyki rozwój, wiodący ją aż do współczesnej ewolucji i „nowinek”. Koncerty te są to jakby studia zbiorowe, przygotowujące do należytego korzystania z wielkich koncertów symfonicznych, mających na programie swoim utwory muzyczne najświeższej daty, wyrosłe, oczywiście, na podłożu twórczości muzycznej z lat minionych. Bez dobrej znajomości Bacha, Beethovena, Wagnera i innych wielkich koryfeuszów muzyki zaliż możliwe jest pełne wyrozumienie i odczucie typowych dzieł muzyki nowoczesnej? Koncerty pedagogiczno-historyczne, które się właśnie rozpoczęły, nazwałby wolno: wyższymi kursami muzyki — dla nie-muzyków zawodowych. Znaczenie ich dla naszej kultury artystycznej aż nadto widoczne.

Ba! tak jakoś nadspodziewanie bujnie wysypała się ruń sezonowa po całym folwarku naszego muzycznego życia i ruchu, że nawet opera,

którą na tem miejscu nazwaliśmy niedawno problematyczną imprezą, zamierza naprawdę zakwitnąć nam, i to wcale już rychło. Organizujący ją artyści zabrali się do dzieła energicznie. Jak słysząc, abonamentowy dwumiesięczny sezon operowy ma rozpocząć „Halka” z... Myszugą; potem pójdzie „Thais” z p. Grąbczewskim, śpiewana po polsku; wreszcie w początkach grudnia wystawiona ma być „Zaza” Leoncavalla z Gemmą Bellincioni.

Zapowiedź — wcale pokaźna i powabna.

Teatry, rzuciwszy na repertuar nowości kilka, przycichły chwilowo, eksploatując premierowe sukcesy.



Scena z komedii Fredry „Mentor”.

W Teatrze Letnim (dyrekcja p. Śliwińskiego) uczyniono eksperyment wystawienia „lekkiej komedii” Sylvane’a, „Pani Mouton”, siłami krotchwili, wzmocnionymi rolą główną, powierzoną p. Dulębiance, która zresztą grała na wiosnę b. roku Irmę de Montmeillan-Mouton w Teatrze Małym za dyrekcji Gawalewicza. Myślę, że eksperyment nie zasługuje na lekkie przygany, które ściągęto na siebie ze strony krytyki traktowanie „komedii” nieco za farsowe. „Pani Mouton” nie jest tak już bardzo wyraźną „komedią”, aby nie wolno jej było potraktować mniej lub więcej — lekko. Czy zresztą zatarto lub pogubiono to, co w „Pani Mouton” najcenniejsze? Bynajmniej! *Takiej* sztuki na żadnej wogóle scenie nie zagrać lepiej, niż to czynią pp. Dulębianka, Gasiński i Knapczyński. Można zagrać inaczej, lecz sztuka przez to nic nie wygra.



Scena z komedii Capusa „Nasza młodość”.

Jest niemiłosiernie francuska, ale głęboka nie jest wcale; bliższy tylko ciętą satyrą obyczajową i zręczną budową.

Teatr Mały przeszedł pod dyrekcję Kazimierza Zalewskiego i dał już pod egidą nowej dyrekcji dwie premiery. Nie spodziewaliśmy się

ujrzeć w ręku p. Zalewskiego — różdżki czarodziejkiej, któraby ten arcy-niewygodny przybytek Muzy teatralnej uczynić mogła z poniedziałku na wtorek sceną, nadającą się do popisów na szerszą i po-kaźniejszą skalę. Warunki czysto technicznej natury uniemożliwiają wszelki „renesans” Teatru Małego taki, o jakim, jak słyszeliśmy, marzy nowy dyrektor. Jeżeliby dźwignięcie Teatru Małego na wyższą stopę zależało od starań i kompetencji dyrektora, uczyniłby to niewątpliwie Gawalewicz. Szkopuły atoli były nie do przewyżnienia — *utinam sim falsus vates!* — Teatr Mały pozostanie i nadal jakby przejściowym ogniwem między teatrem amatorskim a teatrem rzeczywistym.

W dodatku niemałowaznym podkreślmy tę okoliczność, że do warunków technicznych Teatru Małego należy bardzo skrupulatnie i ostrożnie przystosowywać wprowadzane tam na scenę sztuki. Sztuka, nie nadająca się, ze względów technicznych, do wystawienia na scenie Teatru Małego, musi obojętnie zawieść, choćby grali ją najznakomitsi świata aktorowie.

Scena przedewszystkiem: okrutnie mała, zbliżona niemiłosiernie do widzów; perspektywa sceniczna i złudzenie giną przez to fatalnie; efekty zawodzą; najpomysłowsza reżyseria, najuczujniejsza i najostrożniejsza gra aktorska nie są w stanie zapobiedz wcale niepożądanym wrażeniom. A to, co się chętnie wybacza widowskiemu „amatorskiemu”, to zabójcze jest dla teatru *en règle*. Powtóre. Ci artyści, którzy przez czas już długi nauczyli się grać w takim pudełeczku, jak scena Teatru Małego, ci jako tako dają sobie radę z — miejscowymi warunkami. Lecz oto dyrektor Zalewski wziął w skład trupy swojej co najlepszych uczniów i uczennice swojej Szkoły Aplikacyjnej. Napozór: dobry i praktyczny pomysł. Mogą wyrobić się znaczne siły aktorskie. Ci jednak oto artyści *in spe* ćwiczą się... na istnym łożu Prokrusta, nie mogąc w dosłownym rozumieniu — rozwinąć z całą swobodą swojej aktorskiej techniki. To nie wyrabianie się i ćwiczenie, lecz — całkiem wyjątkowa męka, nie należąca bynajmniej do pedagogiki teatralnej.

Teatr Mały pod nową dyrekcją debiutował „Mentorem” Fredry-syna. Sztukę wystawiono bardzo starannie, stylowo, a nawet okazałe. Cofnięto akcję — w kostymy początków XIX wieku, dodając przez to sztuce sporo malowniczości i wdzięku. Całość, pomimo tej i owej gry zbyt „amatorskiej”, wypadła bardzo udatnie, sprawiła wrażenie bardzo sympatyczne i, co najważniejsze, sztuka najwyraźniej pociągnęła publiczność — szerszą. Ładne kostiumy, prostota osnowy, dowcip... ogólnie zrozumiały, cały styl sztuki łatwy, jej „salonowość” niewyszukana, swojska, *mise-en-scène* nieskomplikowana, gra aktorska nietrudna — oto co zapewniło „Mentorowi” powodzenie, w Teatrze Małym. Oto typowa sztuka z tych, które dla Teatru Małego nadają się, które bez ryzyka wystawiać tam można, nie puszczając się nieoględnie na wzloty Ikarowe.

Jakich zaś sztuk w Teatrze Małym wystawiać nie należy, mieliśmy pokaz na drugiej z kolei premierze. Uwzięto się wystawić i zagrać: wielką francuską komedię salonową, „Nasza młodość” Alfreda Capusa z repertuaru Komedii Francuskiej. Rzecz dzieje się w zbytkownej willi w Trouville i nad morzem; środowisko najwykwintniejszej współczesnej, najzamożniejszej paryskiej *society*; w sztuce mnóstwo finezyi dyalogowych; charakter i osnowa malowane subtelnymi odcieniami, pozaznaczanymi tylko dla... wytrawnej i biegłej gry aktorskiej. I temu wszystkiemu miał poddać... Teatr Mały! Z tą swoją maciupką sceną, pełnymi prostoty dekoracjami i zespołem aktorskim, gęsto przetkanym surowym jeszcze, uczniowskim materiałem! Wśród tego materiału wyróżniła się bardzo chlubnie młodzieńca p. Janina Szylling, ale wystawienie czterech aktów Capusa nie miało chyba na celu zaprezentowanie publiczności interesującej debiutantki.

Życząc jak najlepiej Teatrowi Małemu i ceniąc wysoko istnienie tej placówki kulturalnej, pozwoliliśmy sobie ostrzedz: nie tędy droga!

CZESŁAW JANKOWSKI.

WYSTAWA PAMIĄTEK PO SŁOWACKIM.



U góry portrety rodziny Słowackiego: dziadkowie Januszewscy, matka, siostry jej, brat. U dołu część ściany z portretami: na prawo trzy portrety Słowackiego, dalej ojczym jego, dr. Bécu.

Wystawa pamiątek po Słowackim.

Najważniejszym i w wykonaniu ostatecznym najbardziej udanym punktem programu uroczystości, ku czci Słowackiego w Krakowie odbytych, było urządzenie i otwarcie pięknej wystawy pamiątek po Słowackim. Dzięki niestrudzonej energii artysty-malarza Wodzinowskiego, udało się pozyskać dla wystawy szereg cennych zbiorów prywatnych i publicznych, które, zwiezione na czas krótki do Krakowa i w dużej sali Pałacu Sztuki rozmieszczone, złożyły się na plastyczny, nigdzie dotąd nie widziany obraz ludzi i rzeczy, wśród których Wieszczy nieśmiertelny żył i arcydzieła swoje tworzył.

Najciekawszy z całej wystawy jest wypożyczony przez lwowski Zakład Ossolińskich zbiór portretów rodzinnych Słowackiego. Mamy tu dwa portrety ukochanej przez niego matki, wcale dobry portret dziadków Januszewskich, ojca, ojczyma, d-ra Bécu, a wreszcie jego samego, malowanego raz przez Rustema, jako cherubinka ze skrzydełkami, drugi raz przez nieznanego malarza w Dreźnie.

Rozłożone w gablotach rękopisy Słowackiego, jego książki i wcale dobre rysunki przybliżają nas nieco do tego tajemniczego laboratorium ducha, z którego tyle nieśmiertelnych wyszło arcydzieł.

Boczną ścianę zajęły odnoszące się do dzieł Słowackiego wspaniałe obrazy Jacka Malczewskiego, tudzież dwa przepiękne pastele ś. p. Witolda Pruszkowskiego, przedstawiające śmierć Ellenai i Eloie.

Otwarta równocześnie w świetlicy Wyspiańskiego zbiorowa wystawa dzieł Stachewicza harmonizuje doskonale z wystawą pamiątek po Słowackim, tem bardziej, że znakomity artysta wystawił między innymi swoimi dziełami także dwa obrazy, odnoszące się bezpośrednio do Słowackiego, mianowicie „Słowackiego na łodzi” i „Ellenai”.

W drugiej bocznej sali urządzono salonik w stylu współczesnym Słowackiemu. Salonik ten, jak również licznie na ścianach rozwieszony rysunki i plany dekoracyjne do dzieł Słowackiego, szczególnie zaś odznaczające się dużą pomysłowością projekty dekoracyjne młodego badacza sztuki, p. Maryana Dienstla z Monachium, stanowią bardzo szczęśliwe uzupełnienie tej pięknej wystawy.

Jubileusz Muzeum Narodowego.

W ubiegły wtorek obchodziło Muzeum Narodowe w Krakowie swoje srebrne z rzeczywistością gody. W wielkiej sali Matejkowskiej, pod wspaniałym „Hołdem pruskim” i „Wernyhorą” zebrało się wszystko, co kulturą i stanowiskiem społecznym dorosło do zrozumienia ogromnej dla życia narodowego doniosłości takiej instytucji, jak muzeum kultury narodowej. Namiestnik Bobrzyński, marszałek kraju, hr. Badeni, prałaci kapituły krakowskiej z biskupem sufraganiem ks. No-



Uczestnicy obchodu wchodzą do Muzeum.

wakiem na czele, prezydent m. Lwowa, reprezentant ministerium oświaty, szef sekcji Cwikliński, deputacye obu uniwersytetów i politechniki, goście z Czech i z poza granic kraju, a obok nich liczne grono mężów, zasłużonych w nauce i w pracy społecznej, wszyscy oni zebraли się, aby wysłuchać krótkiej historii Muzeum i obecnością swoją zaświadczyć, że losy tej instytucji obchodzą ich i blisko, i żywo.

W głębi pod ścianą, pokrytą wspaniałymi gobelinami flamandzkimi, ustawiono trybunę. Kolejno wchodzili na nią mówcy, aby ukochanej instytucji złożyć życzenia najwspanialszego rozwoju. Po nich zaś dyrektor Kopera w pięknej prelekcji uchylił rąbka zasłony, która zakrywa jeszcze przed nami najbliższą przyszłość drogiej każdemu Polakowi instytucji. Plan, jaki przed zebranymi roztoczył energiczny i utalentowany dyrektor, przedstawia się rzeczywiście bardzo pięknie. W gmachu poszpitalnym, do którego Muzeum w najbliższej przyszłości przeniesione zostanie, zbiory roz-

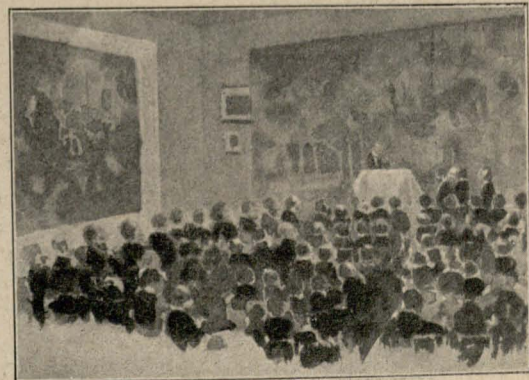
lokowane będą po raz pierwszy ściśle podług wymagań nowoczesnej nauki muzealnej. Na parterze znajdzie pomieszczenie dział przedhistoryczny, który, po uzupełnieniu obecnych zbiorów Muzeum zbiorami Akademii Umiejętności i Uniwersytetu, będzie się przedstawiał wcale okazale. Sale pierwszego i drugiego piętra zapełnione zostały zbiorami starej sztuki i wyrobów artystycznego przemysłu.

Co się tyczy urządzenia komnat królewskich na zamku, to będzie ono opierało się na systemie t. zw. „interieurów”. I tak np. w sali Kazimierza Wielkiego rozmieszczone będą zabytki z czternastego wieku w taki sposób, aby, o ile możliwości, przypominały jak najbardziej ówczesne urządzenia sal zamkowych. W salach Zygmunto-wskich znajdą umieszczenie przedmioty z odpowiedniej epoki, tak, że cały zamek odzyska powoli charakter starej rezydencji królewskiej, zapełnionej autentycznymi zabytkami z odpowiednich epok.

Całe pierwsze piętro Sukiennic, gdzie dziś mieści się główne jądro Muzeum, przeznaczone zostanie na galerię obrazów z dziewiętnastego wieku. Mieścić się tu będzie cała nowożytna sztuka polska, z wyjątkiem obrazów Matejki, które przeniesione zostaną na Zamek królewski.

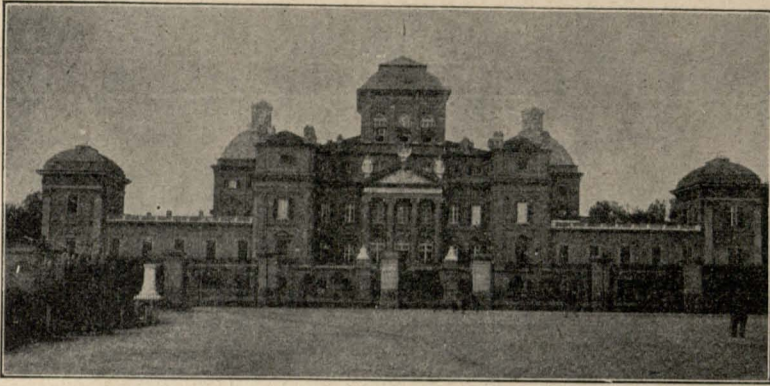
Zbiory zaś pamiątek po Kościuszcze, Mickiewiczu i innych w narodzie wielkich i nieśmiertelnych, które—jak doświadczenie uczy—cieszą się stale największą frekwencją, umieszczone w Barbakanie, stanowiąc będą zupełnie oddzielną całość.

Uroczystość zakończyła się składaniem darów, wśród których królewski dar ekscelencji hr. Pinińskiego, który oświadczył, że całą swoją wspaniałą galerię starych mistrzów ofiarowuje Muzeum Narodowemu, zasługuje na najwyższe uznanie.

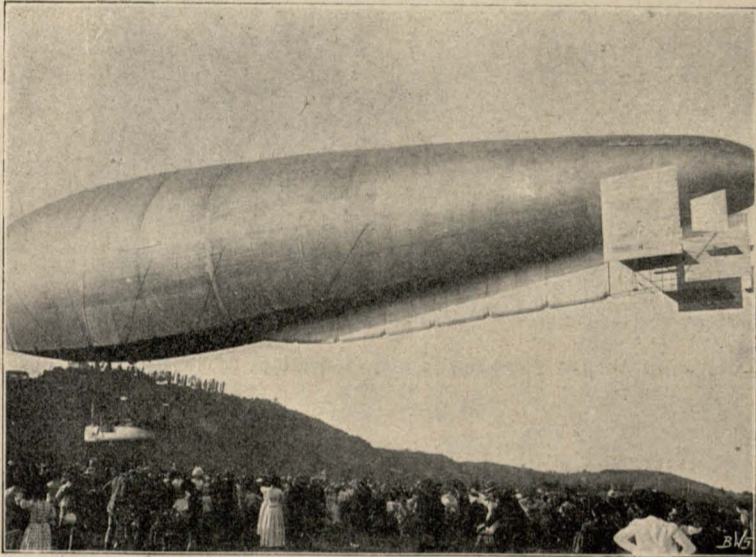


Mowa prof. Morawskiego.

NA ZIEMI WŁOSKIEJ.



Zamek w Racconigi, miejsce obecnego zjazdu monarszego.



Balon włoski wojskowy w Bracciano.

Balon wojskowy włoski w Bracciano.

Balon wojskowy włoski ma 60 metrów długości. Jak widać z fotografii, przedstawia się on w kształcie cygara, którego przód jest grubszy, niż tylny koniec. Wypełniony jest wodorem, ma powłokę z grubego jedwabiu, pokrytą warstwą aluminium. Posiada dwie śruby, a tem przewyższa balon hr. Zeppelina, że owe śruby mogą działać naprzód i w tył, iść naprzód i cofać statek powietrzny. Wnętrze balonu podzielone jest na siedm osobnych oddziałów, co znów uniemożliwia katastrofy w rodzaju tej, jaka spotkała francuski balon wojskowy „Republique”, w razie bowiem rozdarcia jakiegokolwiek części powłoki, wodór nie ulatnia się z innych oddziałów wnętrza, i tym sposobem balon może albo dalej płynąć, albo, w najgorszym razie, spuścić się powoli na ziemię. Oczywiście, służy on do celów wojskowych, do rekonesansów. Może nieść osiem osób, atoli zwykle cztery wystarczają do rozpoznania z wysokości stanowisk nieprzyjacielskich. Zadziwi może okoliczność, że przód balonu jest znacznie grubszy, niż tylna część. Otóż uczynione zostało spostrzeżenie, że ryby, posiadające największą szybkość, mają grube głowy i, do tego się zastosowano, aby balonowi zapewnić szybkość lotu. Średnica w miejscu najgrubszym wynosi 12 metrów, a ogólna objętość 3,450 m. sześć. W łodzi, wiszącej u spodu, długiej na 8 metrów, znajduje się motor o sile 120 koni. Może utrzymać się

w powietrzu przez jedenaście godzin. Balon rozpoczął przed nami ewolucje. Pułkownik Morris wydał rozkaz, aby go spuścić z lin. Do łódki weszło kilku oficerów, żołnierze odczepili liny, zawarczały śruby, i po chwili lekko, miękko, zaczął się potwór powietrzny, srebrzysty wznosić w błękit: poszybował nad jezioro, wracał ku nam, przeciągał, wśród oklasków, nad łąką, zwracał się naprzód, w tył, z największą łatwością, tak, że daleka była myśl o jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Tylko płynąć tak nad uroczym krajobrazem, jaki mieliśmy przed oczyma! Włoski balon wojskowy daje już znakomite pojęcie o postępach aeronautyki. Włochy nie chciały pozostać w tyle za innymi państwami i chcą im nie tylko dorównać, ale je prześcignąć. Uważają one swój balon za doskonalszy od niemieckiego i, jak nam mówili oficerowie, nad dalszem jego udoskonaleniem ciągle pracują. A. D.

Cezary Lombroso.

Zmarł znakomity uczyony. Urodzony w Wenecji w r. 1836, zwrócił Lombroso uwagę uczonogo świata swemi pracami o kretynizmie. Został też niebawem profesorem uniwersytetu w Pawii, gdzie ofiarowano mu katedrę chorób umysłowych, dyrektorem szpitala dla obłąkanych w Pesaro, nareszcie profesorem psychiatrii w uniwersytecie w Turynie. Ale ten lekarz zasłynął przede wszystkim jako kryminolog. Stworzył on nową teorię zbrodni: zdaniem jego warunki, niez-

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO WE LWOWIE.



Podpisanie aktu przy poświęceniu kamienia węgielnego pod budowę bursy Towarzystwa Szkoły Ludowej we Lwowie.

leżne od woli człowieka, jak dziedziczność, wpływ chorób nerwowych, są najważniejszymi czynnikami w psychologii przestępcy i przez to znacznie zmniejszają jego odpowiedzialność. Teoria ta była oparta z jednej strony na szczegółowym badaniu rozwoju idei zbrodniczej w jednostkach, z drugiej zaś na danych, zaczerpniętych z badań pewnych szczególnych cech anatomicznych, stygmatów zwyrodnienia, oraz rezultatów antropometrycznych. Nauka Lombrosa podlegała namiętym krytykom ze strony bezwzględnych zwolenników odpowiedzialności moralnej i kryminalnej, jak również i tych, którzy przyjmowali jego teorię w zastosowaniu do kryminalistów, ale oburzali się, kiedy uczyony z nieubłaganą konsekwencją stosował ją także do przestępców politycznych, którzy nieraz czczeni są, jak święci i męczennicy. Lombroso, oczywi-

Osobiste.

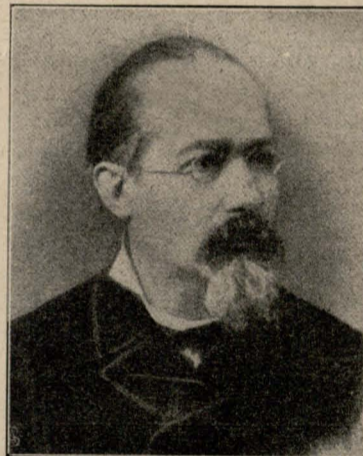
Redaktor naczelny naszego pisma, dr. Józef Wolff, wyjechał do Lwowa na uroczystości jubileuszowe Słowackiego.

O Kruszyne.

W Nr. 33 naszego pisma podana została błędna wiadomość o tem, jakoby Kruszyne kupił Eugeniusz ks. Lubomirski zdewastowaną od spekulantów Niemca. Po zasięgnięciu dokładnych informacji okazało się, że majątek ten w dobrym stanie i kulturze nabyty został od rodziny Grzybowski. Mimowolną tę omyłkę niniejszem prostujemy.

NEKROLOGIA.

ALEKSANDRA Z ŻYCHONIÓW TAHNOWA, żona przemysłowca i obywatela miasta Warszawy, znana z działalności obywatelskiej i filantropijnej, sprawująca przez czas dłuższy obowiązki opiekunki żłobków W. T. D., zmarła w Warszawie 19 września roku bieżącego, przeżywszy lat 52.



Cezary Lombroso.

ście, był jednostronny, wyprowadzał nieraz wnioski zbyt pośpieszne i zbyt paradoksalne, niemniej jednak zasługi jego w dziedzinie kryminalistyki są niespożyte. Z licznych dzieł jego znane były u nas i cieszyły się dużą poczytnością „Geniusz i obłąkanie”, oraz „Człowiek-zbrodniarz”.



Najlepsze **Kakao, Czekolada, Cukry deserowe** **J. FRUZIŃSKI.**

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

„**ŚMIECH**” Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

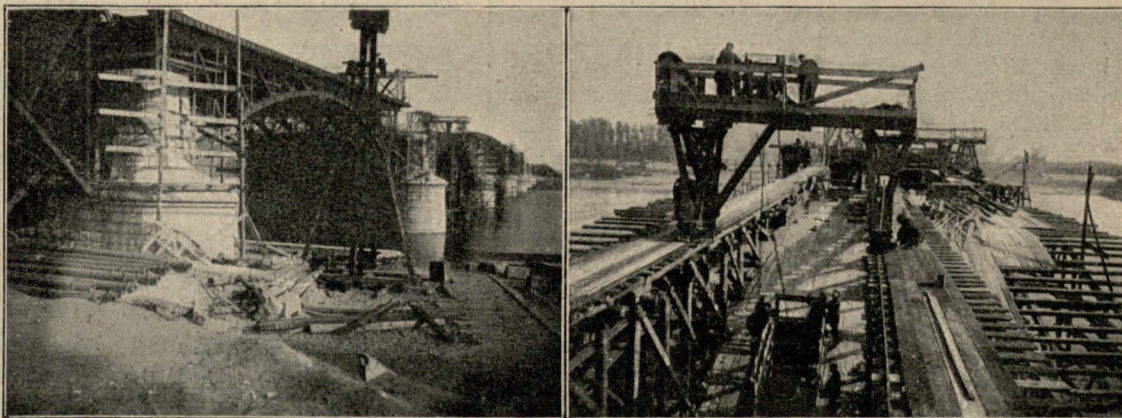
Niniejszem podajemy do publicznej wiadomości, że **WODY MINERALNE SZTUCZNE** wyrobu **WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR”** ZAOPATRZONE ZOSTAŁY W NOWE ETYKIETY, zatwierdzone przez Ministerium Przemysłu i Handlu Zarząd.

PIWO DROZDOWSKIE marcowe, kuracyjne sprzedają wszędzie.

Przechowanie Mebli **„SYRENA”** Krak. Przedm. 38. Telef. 11-22

WYKWINTNE OBUWIE DAMSKIE **I. FILIŃSKI** Marszałkowska 153.

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele **WINCENTEGO LUTOSŁAWSKIEGO** p. t. **„ROZWÓJ POTĘGI WOLI”**, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa, Cena w oprawie rub. 1.20.



Obecny stan robót przy trzecim moście na Wiśle.

TADEUSZ JAWORSKI:

PAMIĄTKI WIELKOPOLSKIE

RYDZYNA.

Akt ordynacyjny stawia jednakże jako warunek, aby wszyscy sukcesorowie, w chwili ustanowienia statutu rodzinnego żyjący, uczynili donację trzech części dóbr swoich, przyłączając je do Rydzyny, na przypadek zejścia bezpotomnego. Kto tego w ciągu 2 lat nie uczyni, prawo traci do ordynacji. Dalej idzie ustęp dziś najważniejszy: „Gdy będzie jednak miał agnat „drugiego prawa” płci męskiej potomka, tenże zaniedbanego przez ojca prawa do ordynacji nie utraci, jeżeli, przyszedłszy do lat 24, wyżej opisaną donację trzech części dóbr swoich zezna”.

Dalej powiada statut, że w przypadku, gdyby wszystkie do sukcesji oznaczone linie wygasły, ordynacja ma być oddana na użytek wyłączny komisji Edukacji Narodowej, celem utrzymania i utrwalenia nowych szkół szlacheckich, które nosić winny imię i herby Sułkowskich.

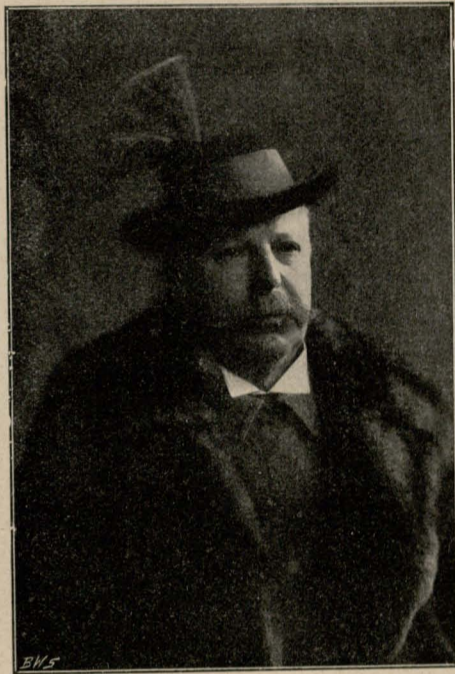
Sprawą Rydzyny zajmują się interesowane strony od 1830 r. Rząd pruski, który uważa się za spadkobiercę komisji edukacyjnej, od samego początku rokowań stoi na stanowisku, że w razie wygaśnięcia prostej linii Sułkowskich dobra rydzynskie, dzisiaj już tylko 30 przeszło tysięcy morgów obejmujące — wszystko inne, z biegiem lat następcy Augusta i Antoniego Sułkowskich sprzedali lub stracili — przechodzą na niego, bo agnaci wszyscy inni pretensji żadnych do Rydzyny rościć nie mogą. Nie wypełnili bowiem statutem przewidzianego i obowiązującego akcesu trzech części osobistego majątku do ordynacji. Mianowicie nie uczynili tego żyjący wówczas sukcesorowie „drugiego prawa”, ani też nie naprawili tego błędu ich synowie. Proces w tym kierunku przeprowadzili przed kilkoma laty potomkowie trzeciej z rzędu siostry fundatora ks. Augusta, Józefy z Sułkowskich Potockiej, i ostatecznie przed sądem rzeszy w Lipsku go przegrali.

Przeprowadzona ankieta u najwybitniejszych powag prawniczych w sprawie zakwestyonowania praw rządu pruskiego, jako spadkobiercy komisji edukacyjnej, wypadła dla nas niekorzystnie.

Wobec tego pp. Potocki z Koniczyna i Wodzicki z Poręby, nie już jako agnaci, ale

tylko jako krewni ostatniego ordynata rydzynskiego, zrobili układ z rządem pruskim, na mocy którego tenże wymienionym krewnym wypłaca połowę wartości dóbr rydzynskich na podstawie nie prawnego, ale niejako etycznego obowiązku. Ważną rolę odegrały w tej sprawie zabiegi dyplomatyczne.

Układ ten wejść może jednakże dopiero wtedy w życie, skoro skończą się niekorzyst-



Antoni ks. Sułkowski, ostatni ordynat na Rydzynie.

nie wszelkie procesy, wytoczone po śmierci ks. Antoniego przez osoby, uważające się za agnatów i krewnych głównej linii Sułkowskich.

Mianowicie występuje tutaj na plan pierwszy chrząstowska linia Potockich. Opiera się z jednej strony na fałszywej interpretacji sądów pruskich co do ustępu aktu ordynacyjnego, dotyczącego zgłoszenia akcesu donacyjnego do Rydzyny ze strony spadkobierców „drugiego prawa”. Z drugiej strony, na podstawie różnych nowych dokumentów, twierdzą Potoccy, że od chwili utworzenia ordynacji żył już syn wymienionego wyżej agnata, Aleksandra Potockiego, Michał, którego synowie, Tomasz i Henryk, po dojściu do pełnoletności uczynili stosowną donację do ordynacji. Na tej podstawie mogą sądy rozstrzygnąć na korzyść linii chrząstowskiej Potockich, nawet bez zasadniczej zmiany niepomyślnego wyroku, ferowanego w pierwszym procesie. Są za-

tem widoki powodzenia. Miarodajny będzie wyrok sądu nadziemiańskiego w Poznaniu.

Gorące życzenia całego społeczeństwa polskiego towarzyszą tym energicznym zabiegom prawych sukcesorów.

Przedmiot sporu godzien zachodu. Trzydzieści tysięcy przeszło morgów ziemi, łąk i lasów, liczne polskie wioski, dzisiaj w dzierżawie lub administracji Niemców, wreszcie ogromny, wspaniały zamek z parkiem, oranżeryjami, ujeżdżalnią, stajniami i zajazdami, istna siedziba książęca, będą nagrodą zwycięzcy.

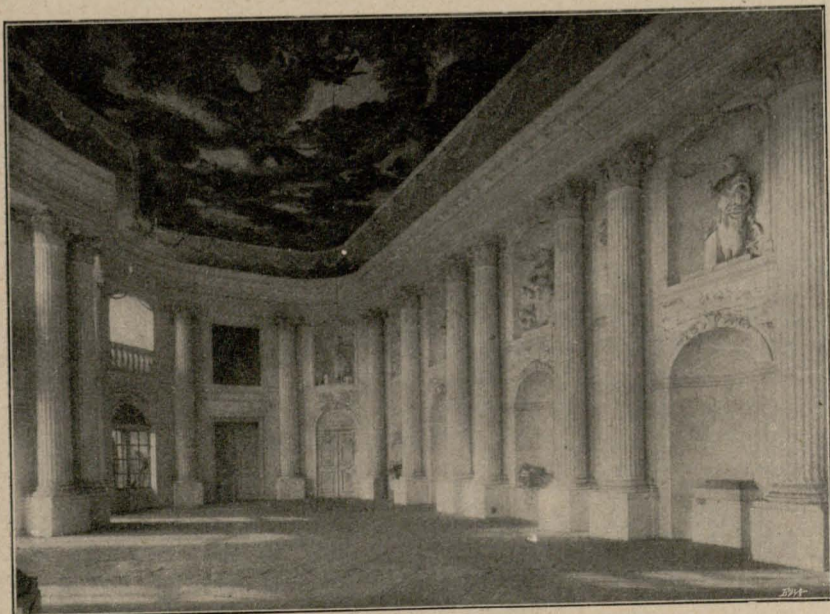
Gdzie dawniej wrzało życie wielkopańskie, gdzie zjazdy, polowania, przedstawienia sceniczne, narady i zabawy gonili jedne za drugimi, dzisiaj głucho i pusto.

Opustoszał więc przedewszystkiem zamek, zbudowany przez Aleksandra Sułkowskiego w 1750 r. na miejscu, gdzie stała pierwotna siedziba Radzyńskich. O ostatniej tego rodu, rzekomo zabójczyni własnych dzieci, do tej pory utrzymała się legenda. Portret tej „białej damy”, która co rok w listopadzie „schodzi z obrazu i odprawia pokutę w przyległej kaplicy”, do śmierci ostatniego Sułkowskiego znajdował się w zamku. Przez krótki czas Rydzynę posiadali także Leszczyńscy.

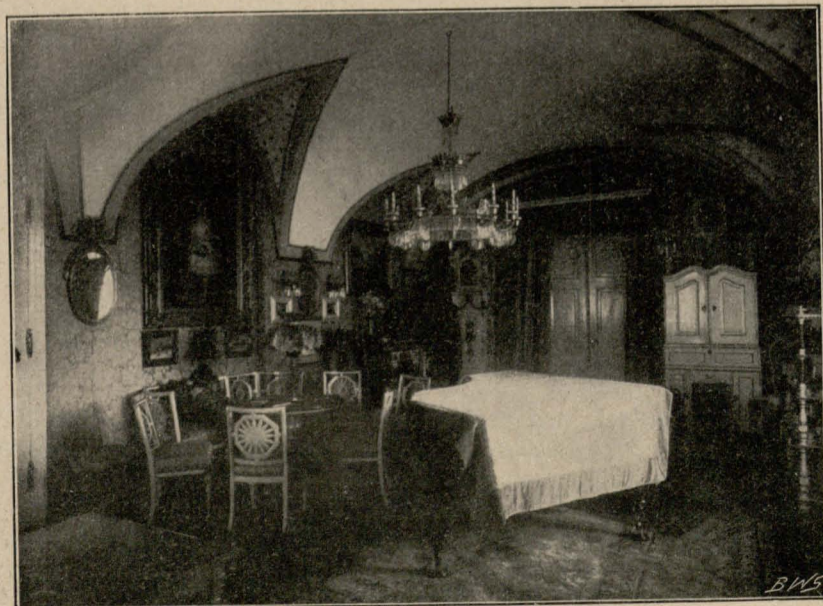
Zamek przedstawia się jako olbrzymi czworobok z 360 oknami frontu, trzypiętrowy, o czterech basztach, otoczony fosą. Jak ratusz poznański jest najpiękniejszym wyrazem renesansu włoskiego, tak Rydzyna przedstawia najbogatszy południowy barok na północy.

Niewiele zamków poszczycić się mogło też taką wewnętrzną dekoracją, jak Rydzyna. Wilhelm I, jako król jeszcze, goszcząc u Sułkowskich, powiedział przecież, że „tak wspaniałych komnat w całym państwie nie posiada”.

Dzisiaj zostały z tego tylko ściany pokojów i ogromnych sal, malowane *al fresco* lub zdobne sztukaterią. Co tylko dało się wynieść, wyrwać, odłamać, to sumiennie wykonali dziedzice. Znikły zatem meble, lustra, gobeliny, kominki, posadzki, bogata biblioteka, srebrne klamki u drzwi, kolorowe okna, rzeźbione oddzwia, pozostał obraz zniszczenia i nierządu. To, co utrzymało się z ruchomości, sreber i t. p. do śmierci ostatniego Sułkowskiego, zabrała w części wdowa, w części sprzedała na licytacji, ordynackie zabytki przewieziono zaś do Berlina. Podobno otrzymać je ma rodzina. W zamku rydzynskim gości dzisiaj jedynie nadleśniczy pruski; rząd zaś jego wziął już cały majątek w formalne posiadanie. Oby nie na długo, nie na zawsze!



Sala książęca w Rydzynie. W drugiej framudze z lewej strony wyrwano posąg.



Salon pierwszego piętra.



E

j, niedaleko—rzekła Sidorkiewiczowa po litewsku—i pół wiorsty niema.

Zaraz ofiarowała się za przewodniczkę, i poszli we troje w las. Pytała ją Krystyna po drodze, skąd ta nauka na trąbce. Sidorkiewiczowa wstydziła się zasadniczo tego męskiego rzemiosła, nareszcie wyznała:

— Męża w lesie znaleźć czasem trzeba.

Spotkali wkrótce Marczaka, Sidorkiewicza i dwóch jeszcze ludzi z siekierami w ręku, działających na rozrzedzonym, ale starym lesie. Technik w kożuszkach, z rękoma, zatkniętymi w skośne kieszenie na piersiach, dreptał śpiesznie i gniewnie od drzewa do drzewa, pociągając za sobą trzech chłopów, spoconych pomimo mrozu i lekkiej roboty. Sidorkiewicz przykładał miarę do pni wskazanych, drugi pomocnik uderzał młotem siekiery w pień, a następnie ostrzem odwalał kawał kory aż do miazgi; na tej ramie podłużnej Marczak znaczył kolorową kredą liczbę; w niektórych zaś wypadkach trzeci pomocnik wielkim zamachem tępej cechy odbijał znak jakiś tajemniczy na obnażonym miejscu pnia, który wtedy jękał głębokim, ponurym kaszlem.

Marczak nie przerwał roboty, aż dopiero gdy goście-próżniacy zbliżyli się zupełnie. Wtedy oddał ukłon i zatrzymał się, milcząc.

— Czy pozwoli nam pan trochę pochodzić za sobą?

— Proszę—odrzekł protekcyjonalnie technik właścicielce lasu.

I natychmiast rozpoczął znowu swą ponurą funkcję. Pierwszy pień napotkany z kolei była to ogromna rosochata osika. Marczak obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem i zawołał od razu trzeciego towarzysza, nosiciela cechy. Ten huknął w pień, obnażony już do rdzenia, bez udziału siekiery, przez

wiekowe przygody, i odbił na nim czarne piętno.

— Co to znaczy?—zapytała Krystyna.

— Brak—odpowiedział Marczak, zapisując śpiesznie w dobytym z kieszeni notatniku.

Zabrał się z kolei do niegrubego stunkskowo, ale prostego dąbczaka, który gadał cicho zachowaną jeszcze koroną rudych, przemarzłych liści. Temu pan Marczak przypatrzył się uważnie, zanotował miarę grubości odziewka, potem obszedł pień dokoła z uszanowaniem, wznosił oczy aż do wierzchołka, kreślił coś w notatniku, jakby drzewo szkicował, wreszcie wziął sam siekiere, zaciął korę delikatnie i na obnażonym miejscu pnia zapisał liczbę czerwoną „rubryką”.

Pani Krystyna, niezmiernie zaciekawiona przez proceder i wynik oceny lasu, postanowiła poprosić o wyjaśnienia. Przecie ten technik należy do rodzaju męskiego, ma najwyżej trzydzieści lat, nie może być zupełnie głuchy i nieczuły na jej uśmiech; takiego jeszcze na świecie nie spotkała.

— Niech pan coś mówi, drogi panie!—odezwała się przymilnie—mnie tak to obchodzi...

Marczak trochę się zachwiał w swym nieugiętym pochodzie.

— Ale proszę... rzecz jest prosta: taksuję każde zdatne drzewo, jedno na opał, drugie na materyał.

— I tak pan obejdzie całą puszczykę?!

— A nie!—uśmiechnął się Marczak trochę bardziej po ludzku—tegobym i przez rok nie skończył. Wybieram typowe, przeciętne działki. To jest szósta półdziesiątka, którą taksuję.

— I jakże? jaki pan przewiduje wynik?

— O tem jeszcze nie mogę mieć pojęcia—wyczerpał Marczak narazie swą uprzejmość.

Szli dalej po chrupiącym, świeżym śniegu, mieszając ślady większych i mniejszych butów z hieroglifami boru, którym zwykli z lubością przypatrywać się myśliwi. Najgęściej rozrzucone były trójzponowe cienkie ślady włóczęgi wron po lesie. Tropy zajęcze znaczyły dokładnie kierunek kicającego, szybkość spłoszonego zwierza, układały się w szlaki wspólnej, choć nie stadem, wędrowki. Większy ślad samotny zwrócił uwagę Krystyny, więc zapytała Sidorkiewicza:

— A tu kto był?

Sidorkiewicz, steroryzowany zupełnie przez Marczaka, rzucił okiem na trop i odpowiedział cicho, po litewsku, machając ręką:

— Szunis... *).

Drzewa zdawały kolejno egzamin przed groźnym taksatorem. Jedne, wydawszy z siebie zdrowy dźwięk pod uderzeniem siekiery, zyskiwały swój patent i numer; inne, wspinałe czasem na oko, ale stoczone już chorobą, skazywał okrutny Marczak krótkim gestem na zagładę. Wtedy trzej pomocnicy, jak męskie Parki, wykonywali wyrok: jeden

*) Pies.

odejmował od drzewa miarę żywota, drugi ciął bez pardonu zwietszałą, luźną korę, trzeci wybijał na pozólkłej miazdze czarne piętno śmierci.

— Takie piękne drzewo!—żałowała zazwyczaj Krystyna pnia skazanego.

Ksiądz Antoni podązał za kompanią w ciężkich swych szopach, rozgrzany, milczący, pozornie zbyteczny, ale przyjmował swą rolę komparsa z pogodnym uśmiechem. Bywał profesorem, kaznodzieją, pisarzem, może raz być i duchowną niańką—dla Krystyny.

Po oszacowaniu jednego kapitalnego dębu, do którego oceny wezwał aż zdania Sidorkiewicza, Marczak odezwał się po raz pierwszy nie pytany:

— Ależ gospodarowano w tym lesie, no, no!

Krystyna przysunęła się zaraz do szorstkiego jegomości, który postąpił umyślnie szybciej, aby odciągnąć właścicielkę lasu od reszty obecnych.

— Żle gospodarowano?—zapytała troskliwie.

— Najprzód—mówił cicho i ponuro Marczak—las jest zupełnie przejrzały; trzeba było dawno go ciąć. Powtóre... zna pani kontrakt z kupcem Jeremiejewem?

— Kontrakt zawarty przez... pana Karola Chmarę?

— A już nie wiem, przez jakiegoś tam Chmarę. Dość, że ten Jeremiejew kupił 20,000 sztuk na wybór po 2 ruble. Rozumie pani? na wy-bór!

Rozcapierzoną dłonią wygrażał sobie przed czołem, a zarazem tak gniewnie spoglądał na panią Krystynę, że aż ta zadziwiła się:

— Ależ, mój panie, cóż ja winna?

— Tak, wiem, mówił mi Rokszycki. Tylko uprzedzam, że ci opiekunowie pani to, to... no to poprostu skandal!

Krystyna nieomylnym instynktem poznała w Marczaku zagorzałego sprzymierzeńca, jeżeli nie jej samej, to przynajmniej jej interesów. Przemówiła ze ślicznym uśmiechem:

— Mój panie drogi! proszę mi powiedzieć—więc te sprzedane drzewa dużo więcej warte?

— Ej!...—zawołał Marczak przeciągle, zwracając od Krystyny w las, z gestem prawej ręki jakoby przeklinającym. Ledwie że nie splunął.

Zawrócił znowu ku niej, trochę uspokojony, i rzekł znacząco:

— Jeszcze jedno powiem: tylko dla pani. Taksuję umyślnie jak najniżej przed miejscowymi ludźmi. Tu trzeba odkradać swój własny las.

Krystyna zrozumiała i zamilkła, wdzięcznym tylko spojrzeniem dziękując temu przyjacielowi Kazimierza. A Marczak szedł dalej, nienawistny i gniewny, jakby chciał zniweczyć ten las, który całym sercem pragnął ocalić.



I powiedział dziewczynce: chodźmy razem...

M. GAILEY

MARYLA CZERKAWSKA:

PREMIERA.

— Mamusiu!

Młoda, pochylona nad szyciem bielizny kobieta, zajęta własnymi myślami, nie słyszy. Dziecko ostrożnym, delikatnym ruchem, jaki mają tylko bardzo wyczulone i nerwowe dzieci, lub ludzie, którzy wiele cierpieli, zbliża się i leciutko dotyka jej ramienia, gładząc malutką dłońią materyał sukni nieuchwytnym, bezwiednym muśnięciem pieszczoty.

— Mamusiu!

Podnoszą się jasne, do płatków świeżo rozkwitłego lnu podobne oczy.

— Co, synku?

— Powiedz mi, co to jest premiera?

— Tego jednym słowem określić niepodobna, lecz może ci wytłumaczyć. Widzisz, w tym dużym budynku, nazwanym teatrem, koło którego przechodzimy codziennie, ludzie, kochający duże, dorosłe dzieci, opowiadają im wieczorem bajeczki o życiu, powtarzają je po wiele razy, jak ja tobie historie Piasta, Kopciuszka, Czerwony Kapturek i Złotą Kulę, lecz, kiedy po raz pierwszy opowiadają nową bajeczkę o życiu, nazywa się to premiera.

— Dlaczego o życiu, mamusiu? co to jest?

— Życie—mówi kobieta ze smutnym uśmiechem—życie? to wyrok cierpienia, czytany przy urodzeniu. Lecz ty tego nie rozumiesz, małeńki.

Z tkliwością bez granic przytula ciemną, otuloną w gęste kędziory główkę syna swego do piersi.

— Nie — przyznaje stanowczo—ale mi powiesz.

— Pamiętasz, jak mamusia pokazywała ci kiełek, który wypuszcza roślina, a który rośnie, tężeje, zamienia się w łodygę, listki, pączki i kwiaty. Potem kwiat opada, łodyga więdnie i usycha, zostają tylko ziarenka, nasienie przyszłych roślin. Cały ten czas, od wypuszczenia kiełka do uschnię-

cia, nazywa się życiem rośliny. Wszystko, co ty, dziecino, robisz, myślisz, czujesz, odkąd przyszedłeś na świat do dziś, nazywa się twoim życiem.

— I twojem też, prawda?

— I mojem, kochanie.

— Mamusiu, a jak ja jestem greczny, to życie jest jakie i czyje?

— Zawsze twoje, lecz, gdy jesteś dobry, greczny, posłuszny, jest ładne, bo piękno, synku, i dobro i prawda to jedno.

Kobieta patrzy na nieskazywane, czyste czoło, w głąb ciemnych, niewinnych, a dziwnie smutnych oczu dziecka i myśli z goryczą: bajeczki ci mówię — lecz co powiem? że niema piękna, dobra i prawdy, tylko kłamstwo, zło i fałsz? i z czembyś odszedł ode mnie? a może ty je znajdziesz, wiarę więc miej, byś wytrwał i zdobył.

— Czy ty, mamusiu, słyszałaś już wszystkie bajeczki, czy ich nie lubisz, bo nigdy nie chodzisz do teatru posłuchać?

Jasne, do płatków świeżo rozkwitłego lnu podobne oczy przykrywają się powiekami.

— A tatuś bardzo lubi, prawda? i tych dobrych ludzi, co opowiadają, lubi też?

Delikatne, blade policzki kobiety zabarwiają rumieniec.

— Lubi.

— A ty?

— Ja także. Trzeba kochać wszystkich ludzi.

— Więc czemu nie idziesz?

— I któżby został z tobą, z Tecią i Helą? Agata nie ma czasu, a zresztą ty wolisz, gdy mamusia położy cię do łóżeczka.

— Wolę, ale wiesz, gdy urosnę i będę taki duży, jak tatuś, pójdę z tobą zawsze na premierę, posłuchać nowej bajeczki o życiu. Tyś smutna, to będziemy chodzili na wesołe, śmieszne, a może wtedy już nie będziesz smutna, to pójdziemy na smutne. A kiedy ja będę całkiem duży?

— Za czternaście, piętnaście lat.

— To długo?

— Długo, dziecino.

— A nie można prędzej, mamusiu, gdy będę greczny?

— No, to może prędzej, odrobinę prędzej.

— Tybyś także chciała, jakbyś chciała? powiedz!

— Bardzo, ogromnie, z całej duszy!

— Z całej duszy! — powtarza dziecko, obejmując szyję matki.

— A teraz pójdziemy spać, małeńki, trzeba, musisz dla mnie wyrość prędko, prędko.

— Ale przedtem powiesz mi premierę.

— Powiem, kochanie.

— Prawdziwą o życiu?

— Prawdziwą.

Jureczek leży w łóżeczku, trzymając w obu rączkach dłoń matki.

— No, mów, mów.

Kobiecie wyrwa się z ust lekkie westchnienie, nachyla się, gładzi włosy syna i zaczyna cichym, miękkim głosem, w którym czuć wzruszenie:

„W cichym, białym domu, oplecionym gęstą siecią winogrodu, przez który przedzierały się jasne promienie słońca i płały po ścianach, jak złote rybki, tęczowe motyle i promieniste strzały, żyła raz ładna, dobra dziewczynka. W oddali szumiała błękitna rzeka z rzędami starych, pochyłonych wierz, które kładły czasem na polach zielone włosy i zniżały głowy, by słyszeć lepiej wieści od śnieżystych, niebosiężnych gór, co modrzały na widnokręgu. I kochała dziewczynka dom biały, stare wierzby nad wodą, dalekie góry, ciepłe, złote słońce i kwiaty, rosnące na łąkach: liliowe dzwonki, promieniste jaskry, żółte dziewanny, pachnące i błękitne, do oczu ludzkich podobne niezabudki. A że była słodka i dobra, nie zrywała kwiatów, bo zdawało się jej, iż stałaby się im ciężka i bolesna krzywda. I słuchała dziewczynka szeptów ziemi, hymnów, płynących z wysokich drzew ku złotym wrotom niebieskiego kościoła, modlitw, lecących ku górze na skrzydłach wichru. Aż raz, niewiedomo kiedy, w srebrne od ros rano czy liliowy wieczór, przyszła do dziewczynki jasna wróżka i położyła jej na oczy różo-

wą, cudną zasłonę, a zasłona ta była lżejsza od mgły i miększa od kwietnego puchu. I postąpiła ją z tą niewidzialną przepaską w świat, pomiędzy ludzi.

Świat szary był, zbrudzony nienawiścią, złością i grzechem, smutny, zroszony łzami, potem i krwią, biedny bardzo, bo wypleniał, jak złe, szkodziłe zielska, miłość i prawdę. Lecz oczy dziewczynki, przepasane różową zasłoną, nie dostrzegały brudu, ani zła, nienawiści ni grzechu, patrzyły z poza niej ufne i dobre, nieskażenie jasne i niewinne i widziały tylko nieskończone, bezdenne, nieogarnione piękno życia. I chodziła między ludźmi mitująca i czysta, aż spotkała między nimi człowieka, który wydał się jej lepszym, piękniejszym od innych. A miał on czarne, jak pióra kruków, włosy i niespokojne, jak dwie stalowe jaskółki, oczy, równe, gładkie, wysokie czoło, na którym zrosła się aksamitna łuka brwi. Miał usta słodkie, jak szkarłatne owoce południa, głos, co dźwięczał, jak srebrna muzyka, wysmukłe, kobiece prawie ręce i żelazne, silne ramiona. Miał dobry uśmiech i zdawał się miłować tych, co cierpieli, i nosił tak wysoko głowę, że nie mogły spocząć na niej fałsz, kłamstwo i grzech. A kiedy powiedział dziewczynce: chodźmy razem, zapomniała o domu nad rzeką, o ludziach, których kochała, o świecie szerokim i poszła za nim, niewinna i ufna, z różową na oczach przepaską. Szli jakiś czas weseli i szczęśliwi wśród słonecznych dolin i gór, porośniętych sosnami o bursztynowej korze, wśród krasnych jagód i ziół woniejących, a w jeden wieczór zimny i słotny dziewczynka, która już była teraz kobietą, została sama: człowiek o oczach, jak dwie stalowe jaskółki, odszedł i nie wracał długo, długo. I zobaczyła go dopiero po wielu szarych, jesiennych dniach, a obok widziała inną wróżkę, co miała czarne, jak noc bezgwiazdka, warkocze i czarniejsze od nich źrenice. Wróżka to przysłała ciemne o ostrych dziobach i krwawych szponach ptaki, które zdarły z serca kobiety różową zasłonę. A choć była ona lżejsza od mgły i miększa od kwietnego puchu, z pod zranionych powiek płynęły duże, ciężkie łzy bólu. Powoli, powoli płynąć przestały, lecz nie widzi już teraz nieskończonego piękna życia, miłości, szczęścia i prawdy, tylko smutek bezdenny, krew, fałsz i zło, a choć człowiek o głosie, co dźwięczał, jak srebrna muzyka, wrócił, nie poszli już do jasnych dolin, gdzie rosą soczyste, kwaśne jagody. Na czole człowieka widać głębokie, ostre brzoźdy, żłobione przez kłamstwo i grzech, a pomimo iż wiele lat minęło, kobietę bolały ciągle zranione oczy i nie wygoją się już nigdy, nigdy.

Umilkła, rączki dziecka trzymały jej dłonie silnie, a głos zadrgał wzruszeniem, gdy spytał:

— Czyś ty, mamusiu, znała tę dziewczynkę?

— Znałam.

— Oczka ją ciągle bolą i ma czerwone. Dlaczego te brzydkie, straszne ptaki nie miały litości? Tak im wróżka kazała, prawda? A czemu ona ich nie pozabijała, mamusiu?

— Nie miała sił. Na to trzeba być bardzo mocnym.

— To wszystkie bajeczki o życiu smutne? Taka śliczna zasłona różowa, i ptaki ją rozdzierały. A jak to musiało boleć! — mówi Jureczek i ciągnie palcami rzęsy.

— Spać, maleńki, nie męczcie oczu.

— No, dobranoc, idę już. Dziękuję za premierę, ale, mamusiu, ten człowiek to miał takie włosy, jak tatuś, tylko tatuś z niedobrą wróżką nie chodziłby, prawda?

— Prawda, synku.

Cisza... Senny, równy oddech dzieci, lampa pali się leniwym blaskiem, stos bielizny czeka naprawy, młoda kobieta opiera twarz na rękach i martwo patrzy przed siebie. Dawny ból poruszył się, jak rozgrzebane laską mrowisko, zegar bije godzinę po godzinie, cisza staje się coraz głębszą, a kobieta nie może oderwać się od swej męki, od myśli o rozpacznie smutnej premierze swojego życia.

RUDYARD KIPLING:

„Wee^{*} Willie Winkie“.

Przekład T. Prażmowskiej.

Nazywał się naprawdę Percival William Williams, lecz, gdy w jakiejś książce z powiastkami znaleziono spisane „Wee Willie Winkie”, zaczęto wołać na niego tem przezwiskiem.

Ojciec jego był pułkownikiem jednego z pułków anglo-indyjskich i, zaledwie Wiluś podrośł o tyle, że mógł zrozumieć, co znaczy dyscyplina wojskowa, ojciec natychmiast poddał jej malca. Jedyny to był sposób na Wilusia. Jeżeli był grzeczny przez cały tydzień, otrzymywał odznakę, należąca za dobre prowadzenie; odbierano mu ją, gdy był niegrzeczny.

Najczęściej—bywał niegrzeczny: w Indyach bowiem nie brak sześciolatniom dzieciom sposobności do zejścia na bezdroże.

Dzieci nie lubią poufałości obcych, i Wiluś też bardzo był w tej mierze wybredny. Gdy mu się jednak ktoś podobał, raczył przyjmować go do swej łaski.

Pozyskał ją tak za pierwszym widzeniem porucznik Brandes, zaproszony do pułkownika na herbatę. Wiluś wszedł do pokoju, dumny posiadaniem galonika, na który tem zasłużył, że się nie uganiał po podwórzu za kurami, przez jakie dziecię minut przypatrywał się porucznikowi z uwagą, poczem wydał o nim swoje zdanie.

— Lubię cię—oświadczył, podchodząc do Brandesa.—Podobałeś mi się... Włosy masz takie, że cię będę nazywał Copsy **)... Wszak ci to nic nie szkodzi? Bo widzisz, takie masz włosy...

Taki to był zwyczaj Wilusia. Popatrzał przez kilka minut na osobę nieznaną, poczem—niewiadomo dlaczego, nadawał jej przezwisko, które—także niewiadomo dlaczego, przyłgnęło. Żadna z kar dyscyplinarnych nie mogła odzwyczaić od tego Wilusia. Raz nawet stracił galonik za to, że żonę kwatremistrza przezwiał: „Pobs”, ale pomimo wszystkich usiłowań pułkownika, aby do tego nie dopuścić, wszyscy ją tak nazywać zaczęli. Tak też i Brandes przechrzczony został na „Copsy”, co, ma się rozumieć, podniosło go niezmiernie w opinii pułku.

Jeżeli bowiem Wiluś okazał się na kogo łaskawym, szczęśliwiec budził zazdrość w oficerach, w szeregowcach, w całym pułku, jednym słowem. Nie było zaś w tej zazdrości nic interesownego. „Syn pana pułkownika” ubóstwiany był dla własnych przymiotów jedynie. Nie dla urody bynajmniej. Stałe miał piegami okrytą twarzyczkę, a łydki podrapaniami i, pomimo najczulszych, ze łzami połączonych prośb matki, uparł się, aby mu ostrzyżono po wojskowemu długie złotych włosów kędziory.

„Chcę wyglądać, jak sierżant Tummil”—oświadczył Wiluś, a ponieważ ojciec podzielał jego zdanie, ofiara została spełniona.

W trzy tygodnie po oddaniu młodziutkiego serduszka porucznikowi sądzone było Wilusiowi widzieć na własne oczy rzeczy dziwne i zupełnie dla niego niezrozumiałe.

Copsy odplącał miłość Wilusia wzajemnością. Raz (o szczęśliwości, nigdy nie zapomniana!) pozwolił mu nosić przez całe pięć minut swój pałasz, w sam raz tak długi, jak Wiluś. Copsy przyrzekł mu dać małego jamnika; Copsy pozwolił mu być obecnym przy isticie czarodziejskiej operacji gołenienia. Więcej nawet: Copsy mu oznajmił, że i on, Wiluś, zostanie z czasem posiadaczem pudełka z błyszczącymi brzytwami, drugiego—z mydełkiem do gołenienia, oraz ze srebrną rączką „szcztotki do piany”, jak Wiluś pendzel nazywał. Stanowczo więc—z wyjątkiem ojca, który mógł dowoli dawać lub odbierać galoniki—nikt na świecie nie mógł dorównywać rozumem, siłą i męstwem porucznikowi, którego pierś zdobiły afgańskie i egipskie

*) W gwarze ludowej „wee” oznacza: malusieńki.

**) Od „copper”: miedź.

medale zasługi. Dlaczegoż tedy ów Copsy stał się winnym tak niemęskiej słabości, jak całowanie—usilne całowanie!—„dużej panny”, miss Allardyn mianowicie? Podczas rannej przejażdżki na kucyku schwytał go Wiluś na gorącym uczynku, a że mallec miał się za *gentleman'a*, czempredziej więc zawrócił, aby nie dozwolić swemu groomowi być świadkiem tak niezwykłego wydarzenia.

O innym, zwyczajnym wypadku byłby natychmiast uwiadomił ojca; teraz jednak czuł instynktownie, że Copsy musi być zapytany o zdanie.

— Copsy—wołał Wiluś nazajutrz rano, wstrzymując kucyka przed *bungalow'em* młodzieńca—Copsy, ja muszę pomówić z tobą.

— I owszem, chłopaczku—odparł Copsy, zjadający śniadanie w towarzystwie swojej psiarni—cożes tam zbroił nowego?

Od trzech dni nie popełnił już Wiluś żadnego ściśle określonego przestępstwa: uważał się zatem za niezdobytą twierdzę cnoty.

— Nie zrobiłem nic wcale—odparł z godnością, zasiadając na szezlongu z myślą o tem, aby naśladować jak najwierniej ruchy ojca, gdy powracał z parady, w największy skwar odbytej. Poczem, schowawszy piegami okryty nossek w filizance herbaty, a oczki w górę podniósłszy, zapytał:

— Copsy, powiedz mi, czy to wypada całować pannę? Duże panny, stare?

— Na Jowisza! Wcześniej zaczynasz! Kogóż to chcesz całować?

— Ja??? Nikogo!!! To *mnie* zawsze całuje mamusia, chociaż się bronię. Ale, skoro to nie wypada, dlaczegożes *ty* wczoraj całował tę dużą pannę... majora Allardyna córkę?

Copsy zmarszczył się, niezadowolony. Po słowie *inż* byli z miss Allardyn, ale bardzo im o to chodziło, aby przez jakiś czas utrzymać rzecz w tajemnicy przed majorem. A tu ten mały wścibski dowiedział się więcej, niż trzeba!

— Sam cię widziałem, Copsy. Ale bądź spokojny, *groom* nie widział. Powiedziałem mu: *Hut jao!* (Precz stąd!).

— Dobrze przynajmniej, że ci na to starczyło rozumu—jęknął nieszczęsny Copsy, sam nie wiedząc, czy ma śmiać się, czy płakać—iluż osobom powiedziałeś już o tem?

— Tobie tylko jednemu. Bo... jakem próbował dosiąść bawołu wtedy, kiedy mi kucyk okulał, to tyś także nic nie powiedział nikomu. Więc myślałem, że teraz ty będziesz rad, gdy nie powiem nikomu ani słowa...

— Wilusiu!—wykrzyknął Copsy z zapalem—jaki z ciebie poczciwy numer! Słuchaj... ty nie rozumiesz tego jeszcze... Niezadługo... bierz mnie lichy, jeżeli wiem, jak ci to wytłómaczyć... niezadługo, widzisz, ożenię się z miss Allardyn... Będzie się wtedy nazywała *mis-tress Cop-py*... rozumiesz, Wilusiu? Ale... jeżeli cię to tak dziwi, żem ja całował pannę...

— Dużą panną... starą...—wtrącił Wiluś.

— Dużą, prawda... Ale nie starą!—skwapliwie poprawił Copsy—to pójdź i powiedz to swemu ojcu...

— A co wtedy będzie?—spytał Wiluś, niezłomnie przekonany, że ojciec jego nad wszystkimi ma władzę.

— Będę miał wiele nieprzyjemności—wyznał Copsy, zrzucając kartę z błagalnym spojrzeniem na właściciela atutowego asa.

— To nie powiem!—związłe oświadczył Wiluś.—Ale ojciec mówi, że mężczyzna nie powinien ciągle całować. Nie przypuszczałem, żebyś tak robił, Copsy!

— Ja też nie całuję *ciagle*, Wilusiu... Czasami tylko... I ty będziesz robił tak samo, gdy dorosniesz... Ojciec twój dlatego tak mówi, że... całowanie szkodzi chłopcom niedorosłym...

— Aha!—zrozumiawszy już, o co idzie, rzekł Wiluś.—Tak jak bawienie się brzytwami?

— Zupełnie tak samo—z powagą potwierdził Copsy.

— Nie! Ja nigdy nie będę całował dużych panien. Nikogo całować nie będę... oprócz mamusi. A mamusię muszę przecie całować?

Nastało milczenie, które znowu przerwał Wiluś:

— To ty, Copsy, ty kochasz tę pannę?
 — Strasznie!—oświadczył Copsy.
 — Więcej, niż psy i konie, więcej, niż...
mnie?
 — Inaczej, Wilusiu. Widzisz: mis Allardyn jest moja, do mnie należy, żoną moją zostanie... A ty... ty dorośniesz, dowództwo obejmiesz nad pułkiem i... to zupełnie co innego! Sam zobaczysz...
 — No, to dobrze. Teraz muszę już jechać. Nikomu nie powiem, że kochasz dużą pannę.
 Copsy wstał i, odprowadzając małego gościa, dodał:
 — Jesteś najlepszym pod słońcem dzieckiem,

Wilusiu! Za miesiąc, jeżeli zechcesz, będziesz mógł powiedzieć każdemu.
 Tak więc tajemnica zaręczyn porucznika Brandesa z miss Allardyn polegała na słowie, danem przez sześciolatnie dziecko. Znając jednak Wilusia, Copsy był spokojny: wierzył, że małe nie złamie danej obietnicy. Tylko od tej chwili Wiluś okazywać począł miss Allardyn niebawem dotąd zainteresowanie się jej osobą: obchodził wokoło zakłopotaną panią i, przyglądając jej się z bawczą ciekawością, widocznie starał się dociec, dlaczego ją Copsy całował. Nie była tak ładna, jak jego własna mamusia, ale—własnością była Copsy'ego! Wypadało zatem Wilusiuowi traktować ją z takim samym poszanowaniem, jakie w niem

wzbudzał ogromny pałasz Copsy'ego lub jego błyszczący pistolet.
 Przeświadczenie, że podziela z Copsy'm tajemnicę niestychanej doniosłości, pozwoliło Wilusiu pozostać w stanie nie naruszonej cnoty przez całe trzy tygodnie. Wtedy jednak wyszedł na jaw „pierwotny Adam”: Wiluś rozniecił w głębi ogrodu to, co nazywał „ogniskiem obozowym”.
 Skądże mógł, biedak, przewidzieć, że iskry, niesione wiatrem, upadną na szopę z sianem i spalą tygodniowy zapas paszy dla koni? Wymiar kary nastąpił szybko: Wiluś pozbawiony został „galonika” i, co najsmutniejsze, zamknięty na dwa tygodnie w „barakach”—to jest na werandzie domu, wraz z odsunięciem go od ojcowskiego oblicza.
 (DN)

NADESŁANE.



STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}

FABRYKA I MAGAZYN
 WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
 JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



MEBLE

ZAŁĘSKI i S-ka

Warszawa, Erywańska Nr 2,
 parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.



DLA CAŁUSA

jest stworzoną delikatną, czystą twarz o rumianym, młodociano-świeżym wyglądzie, białej, jak jedwab miękkiej skórze i oślepiająco-pięknej cerze bez piegów i skórnych nieczystości, używajcie zatem tylko prawdziwe
Mydło z mleka liliowego „Konik”
 wyrobu Bergmann & S^{ka}, Radebeul-Drezno.
 Dostać można wszędzie po 50 kop. za sztukę.
 Główny skład na Państwo Rosyjskie:
 Biuro chemicznych preparatów, St.-Petersburg, Newski 28, dom Singera.

Żądać tylko w czerwonym opakowaniu.



Dostać można wszędzie.

KALODONT

NIEZBĘDNY

KREM DO ZĘBÓW

zbadany przez urzędy lekarskie.

(Wiedeń 3 czerwca 1887 r. i Paryż 3 kwietnia 1890 r.). Przy użyciu zęby pozostają czyste, białe i zdrowe.

G. G. LARDELLI

CUKIERNIE
Fabryka Czekolady

Boduena 5, Nowy-Swiat 27, Marszałkowska 68.

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY
D-ra ROBERTA BERNHARDTA
 ordynatora szpitala św. Łazarza.
 WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.
 Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Röntgena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonwalizacja. Choroby weneryczne.

MAGAZYN KRAWIECKI
SZWAŁBE SACHS
 ANGIELSKIE PALTA I GARNITURY
 GOTOWE I NA OBSTALUNEK
 SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.

SRODKI DO ZĘBÓW

ELIKSIR, PROSZEK I PASTA
 Ojców
BENEDYKTYNÓW
 Opactwa SOULAC



MODEL FLAKONU

WAŻNA UWAGA:
 Flakony eliksiru Benedyktynów nie opatrzone plombą komory celnej rosyjskiej powinny być uważane za podróbione.

Księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie
 poleca:

Nieznane Pisma Adama Mickiewicza

(1817—1823) Z Archiwum Filomatów
 wydał Józef Kallenbach Cena rb. 2.40.

MONSALWAT

Rzecz o ADAMIE MICKIEWICZU Artura Górskiego
 Wydanie drugie. Cena rb. 1.50.

KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36
 przesłała na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON”, Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

Wiesniacze. Krem *Dra Orgley* niszczy piegi, żółte plamy i opaleniznę. Jest nieszkodliwy, używać go dotąd, dopóki plamy nie zginą, jak długo, niewiedomo, zależy od usposobienia. Pojaśnić włosów bez użycia farby niepodobna, woda utleniona daje kolor słomiany i łamie włosy. Myć głowę mydłem *alkalicznem*. — Węgrzy usunie *Pureol*, cen nie możemy w dziale Odpowiedzi podawać, najlepiej się poinformować w której perfumeryi, najprawdopodobniej u *Paszkińskiego, Marszałkowska 109*, lub *Perfection, Szpitalna 10*, w tych składach bowiem trzymają wszystkie środki, przez nas zalecane.

Blondynce z Piotrkowa. Brodawek samej nie ruszać, udać się do lekarza, jeśli bardzo małe, można łapisać delikatnie.

Dla J. E. K. Farba *Hennoline* może być używana bezpośrednio po innej farbie, która okazała się nieodpowiednią. Jeśli włosy są osłabione, wypadają i formuje się łupież obficie, użyć przed farbowaniem *Tetralu*. Jest to płyn, momentalnie wzmacniający cebulki włosowe.

Dla J. N. Najtańszym sposobem pozbyć się opalenizny można *Lanolem Nr. 3*.

Galicyance. Cen nie podajemy, sklepy właściwe objaśnią.

Dla S. E. C. Odpowiedź blondyn-

ce; niech pani zastosuje do siebie. Myć twarz mydłem *Neutralnem*.

Dla Z. P. Ręce odzieżone, wrzliwe na zimno, czerwone, doprowadza radykalnie do porządku w krótkim czasie płyn *Gelurine*. Lecz trzeba bardzo ściśle trzymać się przepisu. Jeśli zaś idzie tylko o wydelikatnienie i wybielenie rąk, należy w tym celu używać przez jesień i zimę *Pâte des Prélats*, ale tylko firmy *Ponsarda*; inne są droższe i nie tak skuteczne. Po namaszczeniu rąk na noc i nałożyć rękawiczki kosmetyczne, nie nasycane.

P. Zuzi. Płeć udelikatnia Krem *Psyche*. Myć się tylko mydłem *Neutralnem*. Na rozdzwajające się włosy skutecznie działa olejek *Hel*. Na zbyt rozszerzony nos pomagają specjalne maszyny, zakładane na noc. Odstawiające uszy również można doprowadzić do normy, trzeba zażądać piśmiennych objaśnień, podając naturalnie swój dokładny adres.

Do Różnych. Nie możemy pomieścić wszystkich odpowiedzi na mnóstwo listów z zapytaniami. Prosimy przeto bardziej skomplikowane zapytania zaopatrywać dokładnym adresem, a bezinteresownie odpowiemy w liście. Na kopercie do *Tygodnika* dodawać należy: dla *P. Mercédès. Mercédès*.

Na liczne zapytania, gdzie najkorzystniej nabywać gramofony i płyty, donosimy, że skład *B. Rudzkiego* w Warszawie, *Marszałkowska 87*, posiada takowe w wielkim wyborze i znany nam jest z akuratanego wykonywania zamówień.

Oprócz wszelkich zabawek ogólnie znanych **MAGAZYN FRANCUSKI** ulica Hr. BERGA 8, poleca: Francuskie **AEROPLANY** różnych systemów, Pokojowe **TIRS AUS PIGEONS**, Paryskie **AKROBATKI** na lampie, oraz dla dzieci **PLUGI I BRONY**, Sanki, **MASZYNY DO PISANIA**, oraz **PRZYBORY DO KOTYLIONA** i t. p.

Składy Sukna i Kortów LEONA MESSINGA

w Warszawie, Miodowa 7, Marszałkowska 140,

polecają modne materiały krajowe i angielskie w wybor. gatunkach. Najdogodniejsze źródło zakupu.

BOROL

na porę zimową uznano za najlepszy ze środków, chroniących skórę rąk i twarzy od opierzchania.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26 Telefonu 167.49.



Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE **MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIESCIE** Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

w Warszawie i Lublinie

i G. Gebethner i S-ka w Krakowie

POLECAJĄ OSTATN. WYDAWNICTWA POWIEŚCIOWE:

Berent W. Próchno. Powieść współczesna. Wyd. II-e.	2.—
Czyński J. Jakobini polscy. Powieść z r. 1830.	1.—
Gliński K. Zaloty Króla Jegomości. Powieść obyczajowa z czasów Jana Olbrachta.	1.20
Jaroszyński T. Doktor Tomasz. Powieść.	1.20
Jeleńska E. (Dmochowska). Bociany.—Pantofelki.—Modlitwa Janwigi.—Bajka.—Tryumfator.—Przy lampie.—Znak zapytania.—Przed świtem.—W dzień patrona.	—,90
Jeske-Choiński T. Błyskawice. Powieść historyczna z czasów rewolucji francuskiej.	1.50
Kraszewski K. Humoreski.	1.—
Miciński T. W mrokach złotego pałacu czyli Basilisa Teofanu. Tragedya z dziejów Bizancjum X wieku.	2.50
Ostrowski Nałęcz Stan. Zarzewie. Powieść historyczna z czasów Księstwa Warszawskiego.	1.50
Prus B. Dzieci. Powieść.	1.80
Reymont Wł. St. Chłopi. Powieść współczesna: I. Jesień. II. Zima. III. Wiosna. IV. Lato. Cena każdego tomu w ozd. oprawie	1.50 1.90
Rodiewiczówna M. Byli i będą. Powieść z niedawnej przeszłości.	1.50
— Dewajts. Powieść współczesna uwieczona na konkursie „Kurjera Warszawskiego”. Wyd. 3 cie.	1.—
— Hrywda. Powieść. Wydanie II-gie.	1.—
— Klejnot. Powieść. Wyd. 3-cie.	1.—
— Kwiat lotosu. Powieść. Wyd. III-cie.	1.—
— Rupiecie. Nowele. Wyd. 2-gie poprawione.	1.—
— Straszny Dziadunio. Powieść. Wyd. IV te.	—,60
Sienkiewicz H. Dwie łąki.	1.50
Sieroszewski W. Małżeństwo. Być albo nie być. Tulacze.	1.80
Urbanowska Z. Wszelchoceni. Kartka wycięta z kroniki miasta powia'owego. Wyd. IV-te 2 tomy.	2.—
Weysenhoff J. Dni polityczne. Serja II (r. 1905—1906) W ogniu.	1.—
Wyspiański Stan. Skalka. Dramat w 3 aktach.	1.—
— Wesele. Dramat w 3 aktach. Wyd. IV-te.	1.60
Zabojcka M. Gromnice. Powieść.	1.20
Zapolska G. O czem się nie mówi. Powieść współczesna.	1.80
— Sezonowa miłość. Powieść współczesna. Wyd II-e	1.50
— Wodzirej. Powieść. Wyd. 2-gie.	1.50
Zbierzchowski K. Literat. Powieść.	1.20
— Malarze. Powieść.	1.20
Zdzlechowski K. Przemiany. Powieść 2 tomy.	2.—
Żmijewska E. Dola. Powieść. Z przedm. E. Orzeszkowej.	1.60

Magazyn Sukien i Okryć Damskich **Władysławy Kwiatkowskiej**

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Żaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

HENRYK MICHAUX
LEKARZ DENTYSTA Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

GEBETHNER
i **WOLFF**

PIANINA I FORTEPIANY

W WARSZAWIE

KRAK.-PRZEDM. 17



PATENTY

NA
WYNAŁAZKI

„Włodarkiewicz
i Sieklucki”

Włodzimierska 16,

Egz. od 1886 r.

Wł. inż. W. Jakubowski.